MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 49. WARSZAWA, 18 PAŹDZIERNIKA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

DEFENSYWA GOSPODARCZA

DZIŚ, po katastrofie, jakiej w kilkanaście lat po wojnie uległ funt angielski, nie wielu pewno pozostanie z tych, którzy trzymali się uparcie poglądu, że obecny kryzys gospodarczy nie różni się zasadniczo od tych przesileń, jakich gospodarstwo światowe już tyle przebyło i że po minięciu kiepskiej konjunktury wszystko wróci do dawnych norm, nie pociągając za sobą konieczności gruntownej przebudowy ustroju gospodarczego. Przekonanie, że coś jednak zmienia się zgruntu, że system industrjalny, doprowadzony do ostatnich prawie swych konsekwencyj, ukazał jednocześnie groźne rysy w swej strukturze, zapowiadające upadek, przekonanie to zyska niewątpliwie wielu nowych zwolenników. A przekonanie takie pociąga za sobą konieczność rewizji poglądów, porzucenia dotychczasowych szablonów myślenia, innego, niż było dotychczas, nastawienia umysłowego i moralnego w ocenianiu zjawisk ekonomicznych, jeżeli się ma znaleść drogę, prowadzącą istotnie do wyjścia z dzisiejszej ciężkiej sytuacji. Ta zmianan astawienia, uwolnienie się od sądów, zasuggerowanych przez wrzaskliwą, a dobrze płatną reklamę i zdobycie się na sądy objektywne, odpowiadające rzeczywistym, istotnym potrzebom kraju i społeczeństwa, jest warunkiem pierwszym i niezbędnym zaradzenia złu i bez tego nie będziemy w możności przeprowadzić uzdrowienia, które musi iść w dwóch kierunkach: gospodarczej defensywy i ofensywy.

Powszechnie znany jest fakt, że narody, bardziej w kierunku przemysłowym posunięte, usiłują narzucać narodom mniej uprzemysłowionym rozmaite inwestycje pod pozorem t. zw. postępu i podwyższenia poziomu życia. Pod tym względem jesteśmy i my narażeni na ataki (zobaczymy niżej, że przeprowadzane skutecznie), mające na celu gruntowną eksploatację naszych kieszeni. Defensywa gospodarcza ma w naszem położeniu za zadanie obronę przed temi atakami, a do tego potrzebne jest przedewszystkiem nie poddawanie się suggestji i jasne rozróżnianie wypadków, kiedy ta „wyższa" stopa życia jest istotnie wyższą, t. j. przynosi nam moralne, czy materjalne korzyści, a kiedy zaś jest tylko stopą „droższą", oddającą nas w gospodarczą niewolę obcym. Że dotychczas, ulegając suggestjom zachodnim, nie rozróżnialiśmypo między „wyższem", a „droższem", wykażą przykłady.

W ciągu ostatnich lat kilku zaczęliśmy intensywnie dawać dymisję dotychczasowym naszym wozicielom, koniom, i wprowadzać trakcję samochodową. Według danych urzędowych kursowało u nas w bieżącym roku około 47 tysięcy samochodów rozmaitych typów, więc wydatek nasz na tę inwestycję, wraz z częściami zapasowemi, oponami i t. d. należy oceniać w przybliżeniu na 1 miljard złotych. Jednocześnie czytamy w statystyce urzędowej, że w ciągu tych samych mniej więcej lat (1924 — 1929) deficyt naszego bilansu handlowego z zagranicą wyniósł 3.238 miljonów złotych i ten deficyt pokryliśmy pożyczkami w sumie 3.278 miljonów złotych. Każdy przyzna, że cyfry te poważnie uprawniają do twierdzenia, iż owe samochody są odpowiedzialne za trzecią część deficytu handlowego w ciągu sześciu lat (samochody idą do nas z zagranicy) i że owe wozy nabywaliśmy na kredyt. Jakie zaś z tego wyciągnęliśmy korzyści? Jeżeli pominiemy autobusy, które oddają duże usługi komunikacyjne i prawdopodobnie są inwestycją ekonomicznie zdrową, oraz samochody ciężarowe, jeszcze pozostanie trzy czwarte samochodów, co do których można utrzymywać, że zwiększają tylko wygodę i przyjemność życia. Byłoby to oczywiście bardzo cenne, gdyby nie było osiągane na kredyt; gospodarz, zadłużający się na przyjemności i wygody życiowe, jest na drodze do bankructwa, temu chyba nikt nie zaprzeczy. Do tych wydatków luksusowych trzeba, mimo wszystko, również zaliczyć zgórą dwa tysiące „taksówek" warszawskich. Nie zaprzeczam, że jazda niemi jest szybsza, niż dawnemi jednokonkami, ale powiedzmy tak z ręką na sercu, komu w Warszawie się naprawdę śpieszy? Nie dajmy się uwodzić frazesom o „zawrotnem tempie życia wielkomiejskiego", pamiętajmy o tem, że Warszawa dopiero z trudem przed kilku laty zaczęła się przyzwyczajać do tego, iż sklepy, szkoły i urzędy można otwierać o 8-ej rano, a do dziś trudno jeszcze coś załatwić przed 10-tą. Przyznajmy, że znaczna część owego „zawrotnego" tempa idzie na rachunek ludzi, którzy zadługo zasiedzieli się u Loursa, czy w „Europie" i pędzą „tak-

sówką", żeby jeszcze zdążyć na czas do kabaretu. Mówiąc serjo, trzeba przyznać, że lokomocja konna z dodatkiem licznych i doskonałych dwukonek, jakie były przed wojną, odpowiedziałaby w zupełności również i dzisiejszym potrzebom i że zmiana trakcji wypompowała kapitał i nałożyła na potrzebujących z niej korzystać haracz, którego wysokość nie odpowiada korzyściom. Opłata za kurs wzrosła o przeszło 50% i stała się poprostu zbyt wysoką: z chwilą pogorszenia się sytuacji, liczba pracujących „taksówek" spadła gwałtownie.

Może ktoś powiedzieć, że jednak, mimo wszystko, trudno się przecież tak odgradzać od świata i ostatecznie liczba samochodów u nas jest, w porównaniu z innemi krajami, licząc na głowę ludności, znikomo mała. Pójdźmy jednak za mądrą radą prof. Rybarskiego, udzieloną w sejmie, i zajrzyjmy, co też ta „głowa" ma w kieszeni. Weźmy dla porównania widomy majątek ruchomy, gotówkę. Wkłady w bankach angielskich wynosiły prawie 4 miljardy funtów, wartość akcyj, notowanych na giełdzie londyńskiej 6 miljardów, razem: 10 miljardów funtów. Gdy porównamy odpowiednie pozycje u nas i weźmiemy to za miarę, wynikłoby, że w Anglji powinno być wozów dwieście razy więcej, niż u nas, czyli około 10 miljonów, a więc liczba kilkakrotnie wyższa od rzeczywistej. Co powiedziałby więc Anglik o naszych stosunkach? Oto mniej więcej to: „W Polsce lada hołysz uważa się za majątkowo uprawnionego do posiadania samochodu. Mają je tam ludzie znacznie biedniejsi, niż u nas, a jest to tem szczególniejsze, że kupują je na kredyt, że cała prawie suma idzie zagranicę (gdy u nas zostaje w kraju) i wreszcie, że popęd u nich jest znacznie kosztowniejszy, gdyż mają złe drogi i słabszy technicznie personel, więc wozy bez porównania prędzej, niż u nas, staną się klekotami, niezdolnemi do użytku".

Więc jakże, podniosą się głosy, mamy się wyrzec dobrodziejstw postępu i cudów techniki? Inni, — mówiąc między nami dość głupawi — uważający szybkie jeżdżenie za rodzaj wypełniania haseł „Ody do młodości", będą protestować w imię rozwoju tężyzny moralnej i fizycznej. Możnaby im odpowiedzieć, że Kusociński rozwija tę tężyznę znacznie lepiej i taniej, biegając szybko piechotą, ale na wszelakiego rodzaju zarzuty można odpowiedzieć ogólnie: Niestety, wszystkie te wywody są raczej rozważaniami retrospektywnemi, gdyż życie wprowadza już korekturę. Wiele z jeżdżących niedawno wozów stoi w garażu lub stodole bez numeru i bez użytku, bo niema za co na nich paradować. Został tylko dług i nieużytecznie rdzewiejący wóz, którego nikt nie chce kupić. Wyrzeczenia się nie trzeba propagować — samo się robi.

Niema dziś obawy o nową falę wydatków na te cele, dobrze jednak jest na tym przykładzie uświadomić sobie różnicę między wyżej wspomnianą „wyższą", a „droższą" stopą życia.

Żeby już skończyć z samochodami, wspomnę jeszcze o sprawie z niemi związanej, mianowicie o budowie dróg. Dobra droga w okolicy ruchliwej, lub mającej warunki rozwoju, jest oczywiście dobrodziejstwem, którego w znacznej części kraju jesteśmy dotąd pozbawieni. Ale trzeba tu też rozróżniać między drogami dobremi, a zbytkownemi, obliczonemi na szybkości 80—100 kilometrów. Takie są niepotrzebne i nie stać nas na nie. A tymczasem powtarzają się wiadomości, że mamy je właśnie budować i nietylko za pożyczone pieniądze, ale wogóle dodać budowę cudzemu kapitałowi. Czyż tu naprawdę może być jakaś wątpliwość co do ekonomicznego bilansu takiej transakcji?

Drugim przykładem, na jaki chciałem się powołać, jest sprawa automatyzacji telefonów. Każdy, kto widział trochę świata, może stwierdzić, że telefony warszawskie, obsługiwane ręcznie przez nad podziw sprawne i cierpliwe telefonistki, działały znacznie lepiej, niż w wielu wielkich miastach zachodnich. Przeprowadza się ich automatyzację kosztem dziesiątków miljonów, idących również w lwiej części zagranicę i kto ma z tego korzyść? Towarzystwo telefonów prawdopodobnie, zagraniczni wytwórcy materjału napewno, a publiczność właściwie żadnej; może tylko zyskuje pewną wygodę i ułatwienie, ale o tem przekona dopiero przyszłość. Więc znów wydajemy pieniądze wzamian za oczekiwane zwiększenie wygody, nie bacząc na to, że w czasie strasznego bezrobocia pozbawiamy uczciwego zarobku wielką rzeszę pracowniczek. Nie ograniczamy się jednak do Warszawy i Łodzi i idziemy z automatyzacją w kraj, przyczem już za wyraźnie pożyczone i to na ciężkich warunkach pieniądze. Opinja publiczna przyjmuje te horrenda gospodarcze spokojnie, jest bowiem zasuggestjonowana hasłem postępu technicznego, uważa go za coś, mającego wartość bezwzględną, w każdych warunkach i nietykalną. Warto więc przypomnieć, że urządzenia automatyczne zrodziły się przeważnie z braku rąk do pracy i nonsensem jest ich stosowanie przy nadmiarze tych rąk, kiedy te ręce w dodatku spełniaja swe zadanie zupełnie dobrze.

Przykładów, w których powinna wystąpić czynnie gospodarcza defensywa t. j. rozumowanie niezależne, wolne od szablonu, możnaby znaleść w naszem życiu jeszcze wiele, liczne bowiem są drogi i środki, z których pomocą obcy kapitał czyni sobie z nas dojną krowę i — co jest upakarzające, — często przy naszym poklasku. Wiele rzeczy uznanych dziś milcząco za niezbędne nadawałoby się do ograniczenia z korzyścią dla ogółu, a niema obawy o przesadę w tym kierunku. Ogół będzie zawsze łapczywy na nowości, zwłaszcza gdy te tyczą się przyjemności życiowych, natomiast prawodawca (dziś pojęcie u nas nieco anachroniczne) ma obowiązek sprowadzenia tych rzeczy do właściwej miary i społeczeństwo wyjdzie na tem lepiej, niż gdy korektę przeprowadzać musi dopiero *post factum* samo życie, jak to ma obecnie miejsce z samochodami po wsiach i „taksówkami" w Warszawie. Ustawodawca milczy jednak u nas od dłuższego czasu, zaś administracja albo idzie w fałszywym kierunku, jak w wypadku z telefonami, lub też interesuje się sprawą tylko z fiskalnego punktu widzenia, jak w wypadku z samochodami.

Roztropna defensywa, chroniąca nas od eksploatacji przez obcych, jest dziś konieczniejsza, niż kiedykolwiek, bo przecież pozostający w ciężkich opałach industrjalizm zachodni zwiększy niewątpliwie wysiłek w kierunku wyzyskania naszego „rynku", ale oczywiście nie wystarczy ona do wyprowadzenia nas na dobrą drogę. Trzeba również i działania pozytywnego, ofensywy. Jest ona w naszych warunkach zupełnie możliwa, trzeba się jednak dla jej przeprowadzenia pozbyć również wielu przesądów, a przedewszystkiem bałwochwalstwa w stosunku do wielkiego przemysłu, jakie panuje u nas powszechnie, w szczególności w sferach t. zw. „miarodajnych". O tych zagadnieniach pozwolę sobie pomówić obszerniej innym razem.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

O SUWERENNEJ GRUPIE RZĄDZĄCEJ

ROZWAŻANIA nad ustrojem współczesnego państwa pozwalają stwierdzić, iż konieczne są w ustroju tym odpowiedniki dla dwu elementów, składających się na całość woli zbiorowej. Jeden z nich ma gwarantować możność objawienia się i realizacji czynnika woli historycznej, drugi dawać upust opinjom doraźnym. Wspomniano już poprzednio, że stworzenie właściwych ram prawnych współdziałania obu tych czynników jest głównem zadaniem ustroju państwowego. Instytucja, reprezentująca ustalony interes historyczny, względnie ustaloną ideę historyczną, winna mieć prawo oddawania możności realizacji, oddania władzy aktualnej czyli rządów tej grupie, która najpełniej i najlepiej przedstawia w danym okresie falę dążeń historycznych narodu. Ocena taka jest z natury swej subjektywna, ale charakter i tradycje, względnie skład i sposób powoływania tej suwerennej instytucji muszą być rękojmią trafności i sumienności jej sądu. Wielką słabością i niebezpieczeństwem systemu dyktatury jest właśnie trudność ewolucyjnej zmiany grupy rządącej. Dyktator zbyt zależny od swych zauszników, zbyt mało z natury rzeczy ponad nich wyrosły, nie może spowodować tego, jak prawi władcy, na prawie oparci.

Mając przed oczyma taki zarys głównych instytucyj państwowych, wysnutych na podstawie założeń dedukcyjnych, przejść należy do zestawienia go z rzeczywistością naszego bieżącego życia politycznego.

Przedewszystkiem musi być wzięta pod uwagę forma naszego ustroju państwowego, czyli konstytucja z 17 marca roku 1921, która, będąc kiedyś wyrazem uczynionej próby demokratycznego rządzenia się, jest dzisiaj o tyle nietylko zabytkiem minionej przeszłości, że formalnie obowiązuje i formalnie, napozór, jest przestrzegana. Jak stwierdziliśmy już w poprzednim artykule, ustawa ta, zgodnie z duchem demokracji ubiegłego stulecia, opiera wszystko na elekcyjnym objawie doraźnej woli ogółu ludności. I naprózno szukalibyśmy w jej instytucjach odpowiednika dla woli i dążeń historycznych narodu. Nietylko bowiem obie izby parlamentarne pochodzą wyłącznie z demokratycznego aktu wyborczego, ale pośrednio jest na nim oparta również głowa państwa — prezydent powoływany przez Zgromadzenie Narodowe złożone z Sejmu i Senatu.

Jeśli jednakże demokratyczna konstytucja nie przyniosła instytucji, odpowiadającej czynnikowi woli historycznej, czy znaczy to, że żywy i rosnący w swoim rozwoju naród polski nie posiadał w tym okresie ognisk woli historycznej w rzeczywistości? Wypada poszukać odpowiedzi na to pytanie, jak i na pytanie dodatkowe, jakie kwalifikacje do stania się grupą rządzącą w suwerennem państwie mieli współcześni nosiciele tej świadomości historycznej. Może braki ustawy konstytucyjnej z r. 1921, wynikłe wprawdzie z demokratycznego doktrynerstwa, pokrywały się jednakże poniekąd ze stanem dojrzałości politycznej społeczeństwa owego czasu?

W roku 1918, kiedy odbudowywano państwo po bardzo długim okresie niewoli, nie było — poza doświadczeniem, wyniesionem z państw zaborczych — żadnej tradycji bezpośredniej ani pamięci o rządzeniu państwem własnem. Nie utrzymała się ciągłość warstw kierowniczych narodu, ani instytucyj prawnych, ani organizacyj politycznych, któreby przechowały w sobie żywą tradycję państwową, umiejętność rządzenia się niepodległego. Warstwy kierownicze uległy szczególnemu przenicowaniu dzięki procesom społecznej przemiany, tak szybkim w ciągu dziewiętnastego stulecia, a żadna z organizacyj politycznych, istniejących obecnie, nie sięgała początkami swego istnienia odmiennych tak ogromnie czasów przedrozbiorowych. Tradycja i doświadczenie długich wieków władania sobą przez wielki naród przetrwały ukryte w podświadomości, w instynktach i dążeniach, w woli oraz zdolności szybkiego odnowienia się, rychłego obudzenia i dojścia do głosu wśród nowych warunków.

Świadomość, wolę i dążenia historyczne narodu reprezentowały wówczas, powstałe i zorganizowane jeszcze w czasach niewoli, mające za sobą od kilkunastu do kilkudziesięciu lat pracy, organizacje polityczne rozmaitego typu. Były one albo tylko jawne, albo jedynie tajne, albo najczęściej podwójnego, jawnego i podziemnego oblicza. Co do swego charakteru i terenu pracy oraz zainteresowań, organizacje te były albo tylko klasowemi, wyborczo-parlamentarnemi stronnictwami politycznemi, albo związane z głębszym prądem kulturalnym i ruchem umysłowym odgrywały, obok terenu parlamentarnego, wybitną rolę wychowawczą i pracowały nad oświatą warstw ludowych, nad ich narodowem uświadomieniem, albo wreszcie były to organizacje rewolucyjno-terrorystyczne. W pracy takiej kształciły się typy agitatorów wyborczych i działaczy oświatowych, odgrywających rolę doniosłą, istniały i wychowywały w rewolucyjnej atmosferze typy spiskowców i bojowców, których psychika wywodziła się częściowo z tradycji powstań i narodowej siły zbrojnej, a częściowo urabiała się pod wpływem kół anarchicznych międzynarodowych. I wreszcie na terenie parlamentarnym kształtował się jednostronny typ polityka demokratycznego i gromadziła się w mózgu niejednym rozległa wiedza o państwie współczesnem. W czasie wojny światowej, bezpośrednio przed odbudowaniem państwa, objawiły się dwa pierwiastki rodzącej się istotnej suwerenności polskiej: własna, samodzielna polityka zagraniczna, godna suwerennego narodu, oraz tworzenie we wszelkich warunkach i przy wyzyskaniu wszelkich możliwości politycznych polskiej siły zbrojnej, jednej z głównych podstaw przyszłego państwa.

Jakkolwiek szybką i pomyślną była ewolucja polskich kół politycznych, moment odzyskanej niezależności i zarazem obowiązku i konieczności tworzenia własnej władzy państwowej nie zastał ich jeszcze w dostatecznem przygotowaniu i dojrzałości do odegrania roli grupy rządzącej państwa suwerennego. Ich doświadczenie państwowe było nietylko jednostronne, ale prócz tego rozbite swojemi poszczególnemi elementami na odrębne grupy polityczne, nie obdarzające się nawzajem zaufaniem nie skupiało się w żadnej z grup całkowicie — poszczególne elementy tego doświadczenia działały na własną rękę, a nawet przeciw sobie. Wśród niektórych grup względy wyborcze i czysto parlamentarne, wśród innych ideowo-wychowawcze, u jeszcze innych kult siły, tradycje spisku i terroru, u jednych tradycje walki z rządem, który był obcy, u innych walki z państwem i prawem, które

było obcego narodu — tradycje zbyt żywe i świeże, a u wszystkich doktrynerstwo konstytucyjne epoki ubiegłej, przesłaniały horyzont polityki nowej, otwartej dla narodu, który organizował własne państwo, własnemi siłami.

Wyrazem niejednolitości oraz niedojrzałości politycznej stała się nienormalna, znaczona katastrofami tragedyj oraz załamań, droga rozwoju wewnętrznego odbudowanego państwa. Wyrazem tym stała się zarówno forma rządu, przyjęta w r. 1921, zgodnie z doktrynerskiem nastawieniem tego okresu, jak i objawiona następnie niezdolność utrzymania rozwoju politycznego w ramach i karbach przyjętej formy prawnej.

Okres pierwszy życia konstytucyjnego, okres, w którym przestrzegano wiernie litery prawa i w jego ramach bardzo troskliwie starano się utrzymać rozwój stosunków politycznych, był dziełem przedewszystkiem tych kół politycznych, scharakteryzowanych poprzednio, w których doświadczeniu politycznem przeważała tradycja pracy konstytucyjno-parlamentarnej.

Ten fakt, że władza z trudem i w pocie czoła, ale w myśl przepisu ustawy budowana, została wysadzona z siodła przez reprezentantów siły, tradycji rewolucyjnej walki z państwem — drugiego z pierwiastków doswiadczenia państwowego, ten fakt, niestety! nie trudno sobie objaśnić i wytłumaczyć, biorąc pod uwagę prymitywność stosunków i poziom kultury państwowej.

I łatwy jest również do oceny wynik dyktaturalnych rządów grupy, wywiedzionej z takiej przeszłości i tradycji politycznej. Nie wdając się w szczegółową analizę, stwierdzić tylko wypada dwie istotne cechy, które grupie tej nie pozwalają odegrać roli, godnej suwerennego państwa oraz utrwalić owego systemu: 1) stosunek jej moralny do społeczeństwa i narodu oraz 2) stosunek do prawa, związany z jej cechami cywilizacyjnemi. Pieśń „Pierwsza Brygada", dotąd będąca ich oficjalnym hymnem, jest wszak wymyślaniem i przeklinaniem „was", czyli społeczeństwa polskiego, „narodu idjotów". Oparta na takim stosunku moralnym do ogółu, grupa rządząca w nowoczesnym narodzie nie może spełnić swego zadania. Równie niemożliwe jest pojmowanie przez nią roli siły i prawa w życiu państwowem.

Prawdziwa suwerenność wymaga harmonijnego ułożenia się elementu prawa i siły w sprawowaniu rządów. Prawo, nie jest suchą literą, oderwaną od życia, a siła władzy państwowej nie jest parwenjuszowskim instrumentem samowoli czy też nadużyć — posiada dostojeństwo i powagę realizatorki praw państwowych. Istotnem zadaniem polityki wewnętrznej — narodowej musi być ustalenie właściwego stosunku obu tych czynników władzy państwowej.

W płaszczyźnie rozważań niniejszego artykułu problem ustroju państwowego przedstawia się jako zagadnienie ukształtowania się czynnika, zdolnego w całej pełni do odegrania roli suwerennej grupy rządzącej — czyli zdolnego zarówno do zapewnienia władzy państwowej autorytetu oraz egzekutywy, do rozumnych rządów, jak i do stworzenia żywotnych a trwałych, konstytucyjnych form prawnych.

Grupa zdolna do rządzenia państwem, zwłaszcza kiedy niema instytucji prawnej, reprezentującej interes historyczny i kiedy stworzenie jego żywotnej organizacji prawnej jest jeszcze kwestją przyszłości, musi być czemś innem i czemś więcej, niż spisek patrjotyczny, walczący z państwem zaborczem i czemś innem, niż późniejsza, pomiatająca prawem, dyktatura i czemś więcej, niż normalne, parlamentarne stronnictwo i czemś więcej, niż ruch umysłowy, szerzący oświatę i kulturę, posiadający świetną literaturę polityczną. Odpowiedzialność rządzących wymaga spełnienia zadań bardziej wszechstronnych i skupienia w całość dużej ilości czynników. Od typu organizacji politycznej, ukształtowanej w okresie niewoli, długa zdaje się wieść droga do nowego typu, o który chodzi. Także trudno o wzory, gdyż konserwatyści czy partja pracy w Anglji, stronnictwa parlamentarne w Niemczech czy Francji, tworzą całość i spełniają swoje zadanie grup rządzących dopiero w uzupełnieniu pewnych elementów, opartych o głowę państwa, albo tkwiących w machinie administracji państwa, są wytworem realnych, skomplikowanych stosunków narodowych, nie do odtworzenia i naśladownictwa gdzieindziej; faszyzm, ogromnie pouczający, jest jednak zjawiskiem również specyficznie włoskiem.

Niepowodzenia dotyczasowego okresu, czyli naprzód wysiłki w ramach demokratycznego ustroju, którego terenem decydującym i właściwym były izby sejmowe, a następnie i dotąd dzieje systemu dyktaturalnego, nieumiejącego wyjść z prowizorjum, zamienić układ fatyczny na prawny, zdają się wskazywać, że przeszłość, tkwiąca korzeniami w odmiennych z gruntu stosunkach życia pod zaborami, stoi na przeszkodzie korzystnemu i całkowitemu pełnieniu zadań własnej władzy państwowej — tym samym ludziom, gdy nie ulegli przemianom dość istotnym, i tym samym organizacjom, niezdolnym do tak głębokiej ewolucji. Być może, iż organizację, któraby, reprezentując zwycięski czynnik woli historycznej narodu, potrafiła odegrać rolę grupy rządzącej w państwie suwerennem, zdolne będą wytworzyć dopiero żywioły, wyzwolone z krępującej tradycji współżycia w obcych państwach i zarazem pierwiastki wyższego typu cywilizacyjnego, bardziej przesiąknięte kultura rzymską — pierwiastki prawo-twórcze. Pierwiastki, które zdolne będą współdziałanie społeczne oprzeć na podstawach wyższego typu; w miejsce ślepego podporządkowania i kultu jednostki wejdzie dyscyplina hierarchji i świadomość żywiołów aktywnych, umiejących koordynować i zespalać swoje dążenia na zasadzie odpowiedzialności osobistej oraz wzajemnego zaufania.

Jej trzonem głównym i podstawą wyjściową stać się jest zdolny w najwyższym stopniu obóz narodowy. Świetny swoją tradycją, najwszechstronniejszy, najgłębszy ze wszystkich kierunków politycznych, przez utworzenie Obozu Wielkiej Polski objawił swoją świadomość konieczności i wolę zmiany form organizacyjnych stronnictwa we własnem państwie. A co najważniejsza — wysunąwszy żywotne hasła, dał początek masowemu ruchowi narodowemu w młodem pokoleniu, któremu tradycje niewoli obce są już z samej natury rzeczy.

Gdy przeżywamy okres absolutyzmu dyktatury, który nie może trwać długo w wieku dwudziestym bez wielkiej szkody, gdy porządek prawny w państwie nie jest ustalony i niema instytucji, któraby interes historyczny reprezentowała, tworzenie się organizacji politycznej nowego typu, zdolnej do spełnienia zadań suwerennych we własnem państwie, staje się zagadnieniem istotnem rozwoju politycznego i konstytucyjnego.

ZDZISŁAW STAHL

MISTERJA NAPOLEOŃSKIE

(Dokończenie)

NASTAWIENIA dzisiejsze w stosunku do Napoleona nie są nowe dla Europy. Podobnemi misjami obarczano przed stu laty jego ducha, a udział w tem Polaków—dość tu wspomnieć Mickiewicza i Wrońskiego — był bardzo wybitny, tylko nie występowało to w postaci tak jaskrawej, jak w tradycji rosyjskiej, której dalszym ciągiem jest Mereżkowski, chociaż sam przeszedł na przeciwny jej biegun.

Dla nas, Polaków, Napoleon był wówczas „bohaterem", kiedy dla Rosjan był postrachem, no i spodziewaliśmy się po nim, nietylko po żywym, lecz i po zmarłym, cudownych rzeczy nie dla nas samych, lecz wogóle dla ludzkości.

„Napoleon, o lat tysiąc osiemset starszy od Cezara — mówił Mickiewicz z katedry „*Collège de France*" — przodkował także myśli chrześcijańskiej. Posłannictwo jego musiało być daleko wyższe, upadek daleko straszniejszy. Uważając rzeczy nawet jedynie sposobem historycznym, bez powoływania się na przeczucia ludów, można uczynić wniosek, że zjawienie się i upadek tego człowieka są zapowiedzią nowej epoki, która będzie tem względem czasów naszych, czem chrześcijaństwo było względem pogaństwa... Napoleon więc rozpoczyna ewolucję, rozwinięcie; bo każda prawda nieśmiertelna rozwija się i rośnie, a człowiek przeznaczenia, bohater Francji i części słowiańszczyzny, jest razem godłem przyszłego zjednoczenia ludów, któremi rządził, zjednoczenia ich duchowego w tej idei, co będzie początkiem ewolucji moralnej i religijnej" (Tom IV. Lekcja XXVI).

Za poprzednika epoki nowej uważał Napoleona także Wroński. Był on dla niego mężem wybranym, posłańcem zgóry, człowiekiem całej kuli ziemskiej, uniwersalnym („*Secrèt politique de Napoleon*" i „*Prodromme du Messianisme*"). Mówiąc nawiasem, można się dziwić, że Mereżkowski, który poznał całą literaturę napoleońską, nie zna poglądów na rolę Napoleona w dziejach duchowych świata, największego poety słowiańszczyzny i jednego z większych jej myślicieli. A szkoda, przekonałby się bowiem, że jego własne myśli przewodnie, jego mesjanizm napoleoński, zawarty jest w poglądach tych wielkich Polaków. Są tu wszakże i duże różnice pomiędzy temi dwiema stronami.

Mereżkowski utrzymuje, iż dzieło uniwersalnej jedności było najważniejszem dziełem Napoleona, rzec można: jedynem całego jego życia. „Gdy się nie rozumie tego, to się nie rozumie wogóle niczego z jego życia" — powiada. „Wszystkie jego czyny, jego myśli i uczucia z tego dzieła się wywodzą i ku niemu zmierzają".

Mickiewicz i Wroński mówią tylko o Napoleonie, że on zapowiada epokę zjednoczenia ludów, że rozpoczyna ewolucję duchowej ich jedności, i że robotę jego mają prowadzić dalej następcy po nim „z ducha, nie z krwi". Ale Mickiewicz zdaje sobie sprawę. że w tej „robocie", wszczętej przez Napoleona celem zjednoczenia ludów, coś było niezgodnego z tym ideałem. Powiada bowiem, iż Napoleon, uległszy pokusie i błędom umysłu, „wszedł w układy z przeszłością, zamiast iść w przyszłość nieznaną za tem bóstwem niewidomem, które niczem innem nie było jak duchem chrześcijaństwa i duchem narodu francuskiego, chciał uprawnić swoje stanowisko i upadł" (Tom VII, Lekcja X). Mereżkowski natomiast, tak jest przejęty tem jedynem dziełem całego życia Napoleona, tak wierzy w to, iż w niem tkwi źródło wszelkich jego dążności oraz czynów, że uznaje całkowity wysiłek Napoleona, mający za cel zjednoczenie ludów, to wszystko, co pochodziło nietylko z ducha, lecz i z krwi jego.

A przytem łudzi się i czci, jak Ewangelję, to wszystko, co sam Napoleon o tem powiedział. Mereżkowski przytacza w książce swojej wiele z tego, co Napoleon, rozważający życie i czyny swoje na św. Helenie, powiedział o swoich zamiarach zjednoczenia ludów, wierząc przytem święcie, że on o tem tylko śnił przez całe życie i na rzecz tego działał.

Mówiąc o tem, jak z każdego ludu pragnął on stworzyć „ciało narodowe", a potem „zjednoczenie ciał narodowych w jedno uniwersalne, w europejski związek narodów", Napoleon, uniesiony wspaniałością obrazu przyszłości, wykrzykuje: „Dopiero później, po tem pierwszem wyrównaniu, możnaby się oddać cudownemu marzeniu cywilizacji: wszędzie jedność praw, zasad moralnych, poglądów, uczuć, myśli i korzyści materjalnych...". „Cała Europa — jedną bliską sobie rodziną, tak, aby każdy europejczyk podczas podróży wszędzie czuł się jak u siebie w domu...".

Mereżkowski to wszystko bierze zanadto na serjo, jakby to było istotną i zasadniczą myślą całego żywota Napoleona, podczas gdy te jego świetne obrazy zjednoczenia narodów powstawały już wówczas, gdy mu jedynie marzenie pozostało, i gdy on niemi starał się, być może, usprawiedliwić wobec potomnych działalność własną, tak przecież często wykraczającą przeciw ideałowi Europy, będącej „bliską sobie rodziną". Gdyby jednak dzieło uniwersalnej jedności było jedynem całego jego życia i leżało w jego planach, to przyznać trzeba, iż plan swój urzeczywistniał Napoleon w sposób tak niefortunny, i hazardowny, że sprzymierzył wszystkie niemal narody przeciw sobie, a plan swój i siebie samego naraził na straszną katastrofę. Na cele i dążenia Napoleona o wiele słuszniejszy miał pogląd Metternich, który mówił: „Głód panowania nad światem tkwi głęboko w jego naturze; można powstrzymywać ten głód, zmieniać jego postać, ale zniszczyć go nie można". A dalej: „Zdanie moje co do tajemnych planów i zamiarów Napoleona nigdy zmianie nie uległo: jego potwornym celem było i jest zawsze to samo: ujarzmienie całego kontynentu i oddanie go pod panowanie jednostki". Co dla austrjackiego ministra było „potwornym" celem, dla nas jest żywiołowem dążeniem jednostki potężnej do zaspokojenia tego głodu panowania nad światem, tej pasji jedności, która tkwiła głęboko w jej naturze i, jak się okazało, nie dała się niczem zniszczyć, niczem powstrzymać, gdyż nawet największe niepowodzenia, przewidywane klęski oraz przeczucia katastrofy ostatecznej nie mogły tego dokonać.

Napoleon był uosobieniem idei jedności, zarówno w życiu prywatnem jak i powszechnem, — to prawda, któż jednak może stanowczo twierdzić, że gdy dążył do niej, więcej mu chodziło o sprawy

świata, niż o swoje własne, o zaspokojenie „bezmiernej miłości władzy nad ludźmi“.

Czuł to dobrze Mickiewicz, że tu Napoleon, któremu przecie tak wielkie posłannictwo wyznaczał w dziejach świata, uchybił duchowi „człowieka uniwersalnego“, stwierdza bowiem, iż chciał on uprawnić swoje stanowisko na ziemi i wskutek tego upadł. Już nie rozwodzę się nad tem, że jedność, o jakiej marzył Napoleon na wyspie św. Heleny (jedność praw, zasad moralnych, poglądów, uczuć, myśli i korzyści materjalnych), nie wiem, czy długo uszczęśliwiałaby „zjednoczenie ciał narodowych“ i czy nie byłaby przyczyną rozprzęgnięcia się związku narodów, gdyby on mógł powstać. Mereżkowski, przejęty wielkością tej idei napoleońskiej — rzekomo jedynego celu jego żywota — nie czuje nawet tego, że podobną jedność urzeczywistniają dzisiaj, u siebie, wyznawcy „czerwonego szatana“, przed którym ma strzedz „świętą Europę“ ów jeździec apokaliptyczny, spoglądający na wschód, — Napoleon! Czemże ma on bronić nas? przecie nie „ciałem“ swojem, lecz duchem, ideją, a jeśli ona tak się zbliża do idei „tamtego“, do jedności „zwierza“ — to jest nieprzydatna, gorzej: uwodzi tylko złudzeniem skutecznej obrony tych, co mogliby się obronić innemi środkami. A jeśli tak — to i wizja apokaliptyczna jeźdźca, stojącego na straży, jest także nieprzydatna, jest chybiona.

Ale już tu „Europejczycy“, nie widzący tego, co widzą dzisiaj Rosjanie — jak utrzymuje Mereżkowski — muszą wziąć w obronę wielkiego Cesarza. Jakoś nie chce się nam wierzyć, żeby ten umysł potężny i zupełny, żeby jednostka obdarzona, pomimo bezmiernej wyobraźni, niezwykłym zmysłem rzeczywistości, mogła brać zbyt na serjo, wówczas gdy żyła prawdziwie, działała i wstrząsała światem, te swoje marzycielskie plany, wylęgłe właściwie dopiero w głowie, pracującej już w próżni, nie czując pod nogami podstawy rzeczywistości.

Mereżkowski, który w tych marzeniach widzi najżywotniejszą treść myśli oraz działań wielkiego człowieka, czyni bożyszczu swemu mimowolną krzywdę, ściąga bowiem myśl jego na poziom „myślicieli“ pan-Europy, tych śmiesznych karłów w rodzaju hr. Coudenhave i t. p. Napoleon powiadał o sobie: „moje skłonności wrodzone, które są zresztą naturalne, dają mi nieskończone możliwości łudzenia wszystkich“. Zdaje mi się więc, że złudził on także Mereżkowskiego, czemu nie można się dziwić, gdyż był istotą uroczą, czarodziejem.

Urzeczony pisarz rosyjski, walczący w duchu oddawna z „czerwonym szatanem“, nie może wyjść z tego zaczarowanego koła, w jakie go wprowadził wielki czarodziej, złudzeniom więc jego niema kresu.

„Dionizos jest mistrzem ekstazy, Napoleon podobnież“—powiada M. „Dionizos syn Semeli, kobiety śmiertelnej, jest człowiekiem, który staje się bogiem; tak samo Napoleon. Dionizos jest zdobywcą i krzewicielem pokoju; również i Napoleon pragnie połączyć Zachód ze Wschodem, aby założyć panowanie światowe — królestwo wiecznego pokoju. Dionizos jest cierpiącym bogiem — człowiekiem; a Napoleon na wyspie św. Heleny — przykuty do skały Prometeusz — jest tem samem, czem Dionizos“.

I nie sądźmy, iż są to dla niego tylko piękne określenia literackie, Mereżkowski te porównania i analogje bierze niemal dosłownie, a na poparcie swej wiary w ich głębokie znaczenie, w ich prawdę, przytacza wciąż odpowiednie słowa i czyny Napoleona.

Tego rodzaju mitologja napoleońska daje pojęcie o stopniu zachwycenia Mereżkowskiego w obliczu osoby „ostatniego bohatera Zachodu“, jak nazywa, między innemi, Napoleona. Trzeba jednak przyznać, że jego ekstaza nie wyraża się tylko frazeologją, zapożyczoną trochę z mitologji, a trochę z Apokalipsy; że rozważając osobę i żywot Napoleona z wysokiego poziomu swego ducha, przenika on głęboko w jego istotę moralną, daje nieraz nadzwyczaj trafną i pełną charakterystykę wielkiego człowieka, o którym znakomici nawet pisarze, dość tu wspomnieć takich jak H. Taine i Tołstoj, tyle symplistycznych sądów wydali, tyle błędnych, pomniejszających go, mniemań o nim rozpowszechnili. W tem, co mówi Mereżkowski, w drugiej części dzieła swego o Napoleonie jako „wodzu“, „organizatorze chaosu“, „władcy świata“ i t. p., znajdujemy wiele spostrzeżeń nadzwyczaj trafnych i nowych, wiele myśli głębokich, oświetlających nie jeden ciemny, bądź zaciemniony, punkt dziejów napoleońskich. O człowieku moralnym, o tem, czy był „dobrym“ czy „złym“, „komedjantem“ czy „szczerym“, mówi często M. w sposób bardzo oryginalny, pobudzający do myślenia i odstręczający od sądów zdawkowych.

Oto dla przykładu: „Jest on „komedjantem“, „aktorem“ ale nie obłudnikiem“ — powiada Mereżkowski; „bezustannie gra jakąś rolę, ale nigdy obcą, lecz zawsze własną. Jest on Napoleonem, grającym rolę Napoleona. W tem znaczeniu jest on uosobieniem prawdy, ale prawda ta do niczego nie jest podobna i dlatego nikt jej nie wierzy“.

Dużo również pięknych i słusznych rzeczy wypowiada Mereżkowski o źródle potężnych sił duchowych Napoleona, o jego duszach: „dziennej“ i „nocnej“ (świadomej i podświadomej), a w tem także nie jedno jest oryginalne i świeże, chociaż i w tem miał poprzednika: Mickiewicza, który to wszystko wyraził prościej i mądrzej. „Bezustannie“— są słowa Mickiewicza — „trzymał on ducha swego w krainie, o której tylekroć wam wspominałem, w ojczyźnie naszej duchowej. Stamtąd brał on swoją siłę, siłę, istotnie mającą charakter nowy, nie należącą ani przeszłości, ani ziemi. Nie wynikała ona z jego położenia w społeczeństwie, albo z rachub rozumowych; była całkiem boską, leżała w jego duchu. Napoleon pokazał raz na zawsze, że już z tego tylko źródła będzie można ciągnąć prawdziwą potęgę polityczną. Pod tym to względem nadewszystko genjusz jego powinien zastanawiać.. To są tajemnice, które pociągają ku niemu duchy słowiańskie i czynią im wyzyw do rozwiązania ostatecznie zagadki tego ogromnego żywota“ (Tom VII „wykładów“, Lekcja XIX).

Stąd też, jak dawniej, tak i dziś, „duchy słowiańskie“, i wszelkie inne, pociągane są ku Napoleonowi i trudzą się nad rozwiązaniem zagadki jego genjuszu, jego żywota zdumiewającego. Rozważali jego życie, zastanawiali się nad jego tajemnicą ludzie rozmaitych skłonności duchowych: sceptycy i mistycy, ludzie ścisłego rozumowania i ludzie intuicji, a z ich badań oraz z ich odczuć jego istoty, na jedną prawdę można się zgodzić, że jest ona z tych, które niepodobna wyrazić słowami. (Powiedziała to o Napoleonie już p. de Staël). Żaden bowiem wielki człowiek nie łączył w sobie tylu sprzeczności, nie był tak rozmaitym, tak nieuchwytnym, — żaden genjusz tak pełnym, tak wyraźnym, a zarazem tak wiele posiadającym luk, tak ciemnym i zbijającym z tropu. Ileż bowiem

w jego woli i w jego wyobraźni, a stąd w jego czynach, rzeczy niezgodnych z zasadniczemi cechami jego charakteru i jego myśli.

Pasja jedności była w istocie wielką żądzą jego ducha, a ten potężny rozum i wielki realista, jakby nie zdawał sobie sprawy, że zaspokoić namiętność sprowadzenia wszystkiego do jedności można tylko wówczas, gdy człowiek liczy się i uznaje to, co jest jej przeciwstawieniem, mianowicie z rozmaitością, z „różnicą“ życia. Tej właśnie „różnicy“, która jest płodnością i bogactwem bytu, Napoleon nie uznawał, gdy dążył do jedności. (Znamienne np. są jego słowa, powiedziane z powodu uwagi, jaką mu uczyniono z racji postępowania z Hiszpanami; miał wówczas wykrzyknąć: „mnie Hiszpanie nie są potrzebni, tylko Hiszpanja“. Tak o tem mówi Chateaubriand w tomie swoich „*Mèmoires d'outres tombes*“, poświęconym Napoleonowi).

Tak samo nie liczył się z czasem, innym nieodzownym czynnikiem w urzeczywistnianiu tej lub innej jedności; nie liczył się z tem w działaniu, chociaż zdawał sobie sprawę ze zgubności czegoś podobnego, gdyż gwałtowny jego duch i bezmierna wyobraźnia, niecierpliwiły się, nie znosiły zwłoki, powolności dążenia i postępowania. (Przekonywał np. Metternicha, że niegłupi iść na złamanie karku do Moskwy — a poszedł i t. p.).

Tak więc ten wielki duch twórczy unicestwiał dzieła swoje i siebie samego, nie mogąc pojednać ze sobą, doprowadzić do równowagi, dwóch zasadniczych stron bytu: jedności i rozmaitości, tego, co powszechne, z poszczególnem, indywidualnem. Zdawał sobie z tego sprawę, a zachowywał się jak fatalista (jaka to sprzeczność z jego wolą potężną) i mówił, że „polityka to przeznaczenie“. Takich i tym podobnych zagadek odnajdziemy sporo w jego dziejach, a składają się one na tajemnicę ogromnego żywota Napoleona. Budzi to wszystko nieustający wśród ludzi podziw, pociąga ich ku sobie, „potrąca“ o ich dusze, jak mówił Mickiewicz. Stąd więc te, ciągle trwające, „misterja napoleońskie“, te tajemne zaślubiny różnych dusz ludzkich z jego duchem nieśmiertelnym.

Czy dobrze to, czy to źle? Są tacy, co twierdzą, że to źle, podług nich bowiem kult Napoleona wytwarza wśród rzesz ludzkich nastrój przychylny dla rozmaitych uzurpacyj, gwałtów i zamachów stanu, zachodzących w naszej epoce. Co do tego, trzeba zauważyć, że zamachy są różne, jedne konieczne i pożyteczne, inne nie, a napoleoński zamach oraz „uzurpacja“ — były to czyny zbawienne dla Francji, jego czasu. Miał słuszność Napoleon, gdy mówił, że więcej on był „potrzebny Francji, niż Francja jemu“. Wszakże nawet zwolennicy Burbonów, jak np. Chateaubriand, który wszystkich grzechów i zbrodni Napoleona nie wahał się potępić, uznają jego zasługi w tej mierze i tak o tem mówią między innemi: „...Napoleon jest wielki z powodu, iż wznowił ład we Francji z łona chaosu; że podniósł ołtarze, i zmusił wściekłych demagogów, ateuszów wolterjańskich, mówców z zaułka, morderców ulicznych, szczekaczy trybun, klubów i rusztowań — do służenia pod sobą; że okiełznał motłoch anarchistyczny etc., etc...“ („*Mèmoires d'outres tombes*“ str. 425, wydanie Nelson'a).

Zresztą, co innego jest kult, a co innego podziw dla genjuszu Napoleona. W tym ostatnim wypadku wyraża się tęsknota ludzi, jak dawniej tak i dziś, do jednostek potężnych duchem, „na miarę Fidjasza“. Tego uczucia niepodobna wydrzeć z piersi ludzkiej. Obcując z wiecznystymi „bohaterami“ ludzkości, badając i podziwiając ich ogromne żywoty, uczą się ludzie jednocześnie odróżniać fałszywych wielkich ludzi od prawdziwych. Kto poznał dobrze tych drugich, ten pierwszych nie weźmie za nich. Podszywać się pod takich jak Napoleon trudno, nie jest on do naśladowania, należy bowiem do tych, których „słowami wyrazić niepodobna“, — fałszerzy natomiast, charakteryzujących się na niego, jakże łatwo wyrazić jednem słowem: głupiec, albo: ordynarny szaleniec. Wszakże to nawet nieszczęsny Raskolnikow z „Przestępstwa i kary“ Dostojewskiego, zapragnął raz zostać Napoleonem i w tym celu dokonał nędznej zbrodni, ale to mu na nic się zdało, poczucia mocy i potęgi ducha nie osiągnął, przeciwnie, poczuł się nędzniejszym jeszcze robakiem, niż był przedtem. Nie łatwo iść śladami Napoleona! Nie obawiajmy się więc zanadto, że ciągle „o godzinie północnej Cesarz powstaje z mogiły...“ *).

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

*) Wyliczając świeżo wydane prace o Napoleonie zapomniałem wymienić książkę wybitnego publicysty francuskiego J. Bainville'a.

RYCERZ NOWOCZESNOŚCI

(WOJNA Z CHAMEM, II)

PRZYSTĘPUJĄC do oceny drukowanych w tygodniku „Zakopane“ wystąpień polemicznych kierownika zakopiańskiego Urzędu Budowlanego pana Pirgo, nie mam zamiaru praktycznie wtrącać się do sporu o architekturę Podhala i Zakopanego. Ma ona tam rzeczników i obrońców godnych, z którymi w zakresie tego przedmiotu równać się nie mogę. Pragnę tylko unaocznić czytelnikom metody, któremi się posługuje propaganda budownictwa, zwanego „nowoczesnem“. Właśnie znakomicie do tego nadaje się polemika pana Pirgo, jako typowa.

Nie mam powodu do podawania w wątpliwość zawodowego wykształcenia pana Pirgo, jako inżyniera, ale polemika jego wymownie świadczy, że nie ma on najmniejszego pojęcia o sztuce architektonicznej. Inżynierja i sztuka w zakresie budownictwa — to są dwie dziedziny różne, nie zawsze przez jedną osobę w jednakim stopniu opanowane. Że zaś tu — w sporze zakopiańskim chodzi wyłącznie o sztukę, więc pan Pirgo znalazł się na terenie obcym, co powinno go było zobowiązać przynajmniej do ostrożności. Może to jest w porządku rzeczy, że kierownik urzędu budowlanego na sztuce się nie zna — zależy to od zasięgu władzy tego urzędu, lecz kiedy bez znajomości przedmiotu, a z taką pewnością siebie głos publicznie zabiera, wtedy i urząd swój w dwuznaczne położenie stawia. I tym przeto sposobem sprawę daleko poza ciasne granice własnej osoby rozszerza.

Zasadniczy na sztukę architektoniczną punkt widzenia pana Pirgo jest tak bez reszty inżynierski, że aż dziecinnie naiwny. Na dowód przytaczam dwa główne z jego wywodów w tym rodzaju dosłowne urywki. Smętnie a krokodylo wzdychając nad „losami Zakopanego“, pan Pirgo tak mówi:

„W ostatnich latach powstaje szereg pensjonatów, hoteli, sanatorjów, will prywatnych w duchu nowoczesnym. Rozwija się komunikacja samochodowa, rozszerza się sieć oświetlenia elektrycznego, marzy się o porządnych drogach i częściowo doprowadza się je do porządku. Zwraca się uwagę na wzorowe techniczne wewnętrzne urządzenia domowe z myślą o wygodzie i hygjenie gości. Powtarzam: nie rozstrzygam — źle czy dobrze się stało. Ale Zakopane nie zostało rezerwatem etnograficznego piękna Podhala, lecz stało się uzdrowiskiem, które pragniemy podciągnąć do miary uzdrowisk europejskich. I Zakopane siłą rzeczy, spełniając to nowe zadanie, zatraca i musi zatracić dawną indywidualność“.

Opodal zaś tak chłopięco-dzielnie zmaga się pan Pirgo z zagadnieniem stylu:

„W Zakopanem problem stylu góralskiego staje się trudny. Może to byłoby i ładne i interesujące stworzyć u stóp Tatr rezerwat rodzimego góralskiego budownictwa. Ale trzeba było przed laty, przed bardzo wielu laty, kiedy zaczęto budować wille i pensjonaty, wydać specjalne rozporządzenie, zabraniające budowy domów murowanych i wogóle większych, oraz urobić opinję, że na tym terenie najwłaściwsze są wille w stylu góralskim. Do tego należało naturalnie dostosować urządzenia techniczne: drogi, środki komunikacyjne, wewnętrzne urządzenia domowe, a także odpowiednio zorganizować straż ogniową. Bo tylko wtedy całość byłaby stylowa“... „Jak prymityw, to prymityw!“

Mało mam tu miejsca, jak na sprawę tak obszerną, a jednak musiałem go w sporej ilości udzielić słowom pana Pirgo, ponieważ obawiałem się, że czytelnik na podstawie tylko moich określeń nie zdoła sobie wyobrazić granic inteligencji kierownika urzędu budowlanego. Teraz na własne oczy widzimy, jak dalece pan Pirgo, dbały o podciąganie Zakopanego do miary uzdrowisk europejskich, zaniedbał sam siebie do miary myśli europejskiej podciągnąć. Niema takiego wynalazku w zakresie urządzeń wewnętrznych, któryby budownictwo mieszkalne zmuszał do zmiany kształtów architektonicznych. Chodniki zaś, jezdnie asfaltowe i drogi, ogrodzenia, kwietniki, place i t. d., największa wszędzie czystość, ład i hygjena — tylko, owszem, podnoszą piękno każdego stylu budowlanego, o ile jest piękny (brzydotę nowoczesną... także podnoszą). Holender, Szwajcar, Anglik, Belg, w miasteczkach nie większych od Zakopanego mają to wszystko dokoła i wewnątrz swoich domów, bardzo często drewnianych, w stylu danego kraju zachowanych, lub wznoszonych, i za narwańca uznaliby inżyniera, któryby dla autobusów wywracać chciał architekturę ich domów. Uzależnianie stylu i stylowości w architekturze mieszkalnej (i z nią pokrewnych) od kanalizacji i drutów telefonicznych jest poglądem murzyńskim, a nie europejskim. Powinna to chyba rozumieć inżynierja, która się szczyci tem, że jej roboty w domach są niemal niewidzialne (pod ziemią chowane, w ściany wpuszczane), a w każdym razie minimalną ilość miejsca zajmują.

W polemice pana Pirgo i jego obronie „nowoczesnych zaprojektowań“ pełno podobnych, jak tu wytknięta, naiwności, oraz wewnętrznych sprzeczności. Możnaby je bez wyjaśnień pozostawić na osobistym rachunku autora — tak są cymbalicznie pustobrzęczne, gdyby nie jego urzędnicza wzgardliwość i lekkie, typowe manjery — niby szefa prowincji okupowanej. Pan Pirgo wszedł do komnaty sporu naukowego w kapeluszu nabakier, z cygarem w zębach, z rękami w kieszeniach u spodni, i poprzez ramię rzuca swoje zdania, dowcipami okraszone, a dla zabawy nogą sobie te i owe przedmioty potrąca. Jest pewny siebie, bo tam — „wyżej“ sprawę już nieodwołalnie przesądzono, on zaś łaskawie bierze udział w polemice, bo jest liberałem i demokratą, a zresztą — tak mu się podoba. Nie dziw, że zachowaniem się swojem rozgniewał stronę przeciwną — taki europeusz...

Co do rzeczy samej, to kapitalne są w ustach kierownika urzędu budowlanego, jego poglądy na istotę stylu w architekturze. Widzieliśmy już w urywkach przytoczonych, że do „całości stylowej“ zalicza on wszystkie urządzenia techniczne i ulepszenia uliczne. Opodal jednak podaje inne jeszcze pojęcie stylu. Mówiąc, mianowicie, o dworkach polskich, zapytuje: „czy sentyment, szacunek i estetyczny podziw, jakie mamy dla nich, każą nam budować kamienice, poczty, muzea, teatry, kościoły, ratusze, szpitale, hotele i t. d. i t. d. w stylu tych dworków?“ A roześmiawszy się i oburzywszy na taki pomysł, woła z patosem: „Bo czy to nie karykatura — paropiętrowy gmach, naśladujący dworek szlachecki?“

Wynika stąd, że dla pana Pirgo stylem jest naśladowanie, ścisłe kopjowanie danego wzoru. O takiem pojmowaniu istoty stylu świat jeszcze nie słyszał. Conajmniej od dziesięciu tysięcy lat w Afryce, Azji, Ameryce, a od trzech tysięcy lat— w cywilizacji europejskiej człowiek w każdym tworzonym przez się stylu buduje różne co do wielkości i przeznaczenia gmachy, ale mu nigdy w głowie nie powstała myśl naśladowania dworku w świątyni, lub świątyni — w dworku. Mimo to i świątynię i dworek w jednym, danym stylu budować umiał i umie, wie bowiem lub czuje, że istota stylu w budownictwie polega na wspólnej idei przewodniej, a nie na ścisłem powiększaniu albo pomniejszaniu wzoru. Pan Pirgo wczoraj spadł z księżyca — i trzeba trafu, że właśnie na zakopiański urząd budowlany!!

Nie tu jednakże koniec wdzięcznym igraszkom gościa lunatycznego! Pan Pirgo zdobywa się raz na uogólnione określenie pojęcia stylu w słowach następujących: „Styl bowiem — nawet w najskromniejszem pojęciu — polega nietylko na jakich paru szczegółach zdobniczych, ale na swoistej konstrukcji, która zależna jest od materjału i od celu — przeznaczenia budynków“. Gość nasz widocznie zdążył zasłyszeć gdzieś i coś o konstrukcji, materjale, przeznaczeniu i stylu, więc bez namysłu wpakował wszystko do jednego kotła i taki nam tu bigos radosnej twórczości swojej podaje! Nie żeby go zasmucić, ale tak — dla przechadzki w świetle słonecznem — zaprowadźmy go przed oblicze trzech kolejno kościołów. Oto kościół w stylu romańskim, a ten oto — w stylu gotyckim, a tamten — w stylu bizantyjskim. Wszystkie trzy zbudowane z tego samego materjału — z cegły, a również mają to samo przeznaczenie — kult religijny. Pomimo jednak tożsamości materjału i przeznaczenia zbudowane są w trzech całkowicie różnych typach konstrukcyjnych, czyli — stylach. Zatem „swoista konstrukcja“ nie zależy „od materjału i celu“, panie... kierowniku urzędu budowlanego!

Ale pan kierownik jest niewyczerpany w swoich pomysłach lunatyka na śliskich gzemsach „nowoczesnych zaprojektowań“. W tem samem wypracowaniu swojem tak jeszcze „szeroki ogół“ poucza:

„Słyszymy tak często zdanie: niech architekci starają się, aby z motywów góralskich stworzyć styl nowy

polski, niech rozwiążą zagadnienie umiejętnego zastosowania stylu góralskiego do budownictwa murowanego. Jakież to dziwne żądanie! Styl nie da się stworzyć na żądanie, na zamówienie: styl jest wytworem ducha czasu, wytworem epoki".

A tuż po tem (o duchu czasu) wypowiedzeniu znanego powszechnie i wszędzie przyjętego poglądu pan Pirgo najspokojniej w świecie pisze się na pogląd wręcz przeciwny, mianowicie:

„Przeciw uroszczeniom szerokiego ogółu do decydowania w sprawach stylu, jego istoty, wartości i możliwości, jakie przedstawia, wypowiedziano się też wyraźnie na ankiecie w marcu 1929 r., wyrażając życzenie, aby w tej sprawie zabrały głos Ministerstwo Robót Publicznych i Departament Sztuki M. W. R. i O. P.".

Gdzież w takim razie pan Pirgo zechce łaskawie umieścić „ducha czasu" i „epokę": — w szerokim ogóle, czy w dwóch ministerstwach? Bo jeśli w ministerstwach, to będzie to „tworzenie stylu na żądanie i zamówienie", przeciwko czemu pan Pirgo wystąpił w pierwszym urywku przytoczonym. A jeśli w szerokim ogóle, to będzie to „uroszczeniem", przeciw któremu pan Pirgo wystąpił w drugim urywku. A może w architektach? Ale i przeciw temu wypowiedział się pan Pirgo w pierwszym urywku swojej logiki. Zatem gdzie przebywa ów tajemniczy duch czasu z małżonką swoją — epoką? Zapewne na księżycu, a jeszcze pewniej — w żelazobetonie, jako „materjale, od którego zależy swoista konstrukcja" mózgu kierownika urzędu budowlanego. „Jak prymityw to prymityw"!

Samo zaliczenie przez pana Pirgo stylu zakopiańskiego do prymitywu jest poglądem, godnym żelbetowego myślenia. Ale i to mu nie wystarcza. On chce utworzyć z tego prymitywu „rezerwat u stóp Tatr" w postaci „wsi wzorowej", a w stworzeniu takiej wsi widzi „piękne zadanie Towarzystwa Tatrzańskiego i miłośników Tatr i Podhala". Co za łezka etnograficzna! Co za sentymentalizm staropanieński! A wszystko w tym jedynym celu, ażeby i towarzystwa wszelkie, które są wyrazem społeczeństwa, i samo społeczeństwo (szeroki ogół) jaknajdalej usunąć od Zakopanego i jego rynku, na którym „w epoce żelazobetonu"... „w otoczeniu kina „Sokół", nowocześnie zaprojektowanej wielkiej kawiarni „Italja" i także nowocześnie zaprojektowanej przez Ministerstwo szkoły" stać będzie ratusz, względem którego „jakże myśleć o stylu góralskim?" Innemi słowy: idźcie do djabła, bo tu właśnie, w Zakopanem jest miejsce jedyne dla rezerwatu „nowoczesnych zaprojektowań"! Umieją się rozpierać — ci panowie z księżyca!

Takie są oto piruety pana Pirgo na piargach „problemu" zakopiańskiego. Zanim atoli rozstaniemy się z jego ciekawie nieciekawą figurą, musimy przyznać mu jedną słuszność zasadniczą, w całej sprawie tej rozstrzygającą. Poucza on, że „jak jesteśmy chorzy, wzywamy lekarza, o poradę prawną udajemy się do adwokata" i t. d. słowem — w każdej sprawie idziemy do znającego się na rzeczy „fachowca". Słusznie! Skoro zatem pan Pirgo sam dobrowolnie i publicznie udowodnił, że w sztuce architektonicznej jest szewcem, a może felczerem, to któż „liczący się z logiką, i z rozsądkiem" będzie z wywodami jego się liczył? *Nec, sutor, ultra crepidam!* Niech pan Pirgo schowa się do swoich „ustępów nowocześnie projektowanych" i o nich szeroki ogół poucza. Wtedy, przemawiającego stamtąd przez radjo, jako odpowiedniego człowieka na odpowiedniem miejscu, chętnie i z zaufaniem go posłuchamy.

Zatrzymałem uwagę czytelnika na jednej, wprawdzie centralnej figurze owej komedji nowoczesnej, która tak dokuczliwie gnębi architekturę Zakopanego, a zatrzymałem w tem przekonaniu, że to jest typ. Napotykamy go dzisiaj wszędzie, we wszystkich zbiorowego życia dziedzinach, a w każdej — na stanowiskach kierowniczych. Typem zaś rządzi patryjarchat „epoki". Im głupszy i bezczelniejszy jest typ, tem lepiej spełnia swoje zadanie. Raz pchnięty w danym kierunku, sfanatyzowany lub skarjerowiczony, niezmordowanie psuje, co mu psuć kazano, i żelbetowym łbem tryka, jak taranem, tryka w miejscu wskazanem, aż się swego dotryka. A że obdarzono go władzą, a on skwapliwie i nahalnie, jak każdy stupajka, z władzy korzysta, więc społeczeństwo, w obronie swoich praw, swobód obywatelskich i kultury, trudną wojnę z typem prowadzić musi.

Chodzi teraz o to, jak tę wojnę prowadzimy i jak należy ją prowadzić. Społeczeństwo polskie czasów obecnych jest zamało zorganizowane, za dobrotliwe i dobroduszne, zamało posiada woli, charakteru i temperamentu, leniwie zajmuje się sprawami publicznemi, nie łączy objawów poszczególnych w większe całości, ani całości owych, jeśli je dojrzy, — w całokształt życia współczesnego. Brak mu wyobraźni, a tych, którzy wyobraźnię mają, pozostawia w osamotnieniu wtedy nawet, gdy im słuszność przyznaje. Zarzuty te całym ciężarem obarczają narodową warstwę oświeconą. Trwa ona wciąż w rozproszeniu, w powolnem tempie życia, bez oburzeń i zapału, bez gniewu i zachwytu, od zdarzenia do zdarzenia, w ciepłym kaftanie przysłowia „jakoś to będzie"... A tuż przed sobą ma linję okopów zbrojnych, zwartych, natarczywych, coraz bliższych i groźniejszych, okopów wroga śmiertelnego, który ma cel, metodę, taktykę i jedno kierownictwo, wroga szerzącego dokoła rozkład, oszustwo, fałsz, prowokację i gazy usypiające. Kto patrzy na to wszystko zwysoka, od granicy do granicy owych okopów, ten z przerażeniem przypomni sobie rosyjski front z wojny światowej w roku 1917, rozkładający się w obliczu zwartego frontu niemieckiego. Wiadomo, jaka to była ze strony Rosjan dobrotliwa, dobroduszna, ciepła, wstrętna ohyda.

Sprawa ratusza zakopiańskiego, Zakopanego w jego budownictwie, stylu zakopiańskiego i stylu polskiego w architekturze, oraz najazdu na Polskę „nowoczesnych zaprojektowań" — to nie odosobnione zagadnienie jednej miejscowości (zresztą znanej i ważnej), lub jednej dziedziny twórczości. To sprawa, która pośrednio i bezpośrednio dotyczy kultury polskiej na całym jej obszarze. Dlatego po obszernym, jak na publicystykę, wstępie nie zawahałem się równie obszernie przedstawić typowego przeciwnika... we własnym jego żelbecie. To jednak było tylko nieuniknione „po drodze". Bo od początku zdążam do jednego celu — do powiązania stylu zakopiańskiego ze stylem polskim i jego przyszłością w architekturze, co na razie w sposób praktyczny łączy się ze sprawą budowy ratusza w Zakopanem. Zanim jednak do tego zagadnienia przejdę, muszę raz jeszcze (...po drodze) zająć uwagę czytelnika równie obszerną przesłanką, traktującą o charakterze i stylu owych „nowoczesnych zaprojektowań", o czem w Polsce zamało się myśli i mówi. Poznaliśmy rycerza nowoczesności architektonicznej, poznajmy teraz jego damę.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA WIDOWNI

Prześladowanie Polaków na Łotwie. — Czem Inflanty dla Polski. — Dwa programy w sprawie Inflant. — „Prezent" czy polityka? — Właściwy kierunek na przyszłość.

WIADOMOŚCI, nadchodzące w ciągu ostatnich dwóch tygodni o prześladowaniu polskości na Łotwie, budzić muszą w społeczeństwie polskiem uczucia zarazem gniewu i upokorzenia.

Uczucie gniewu, bo ziemia ta, gdzie dzisiaj zamykają polskie pisma, rozwiązują polskie stowarzyszenia, aresztują działaczy polskich, religji nawet nie pozwalają uczyć dzieci polskich w ojczystym języku — ziemia ta, Inflanty Polskie, to nie jakiś obcy nam, odległy teren emigracyjny, ale przez długie lata nieodłączna część dawnej Rzplitej, zespolona z jej całością polską krwią i nieprzerwaną, przez wieki trwającą pracą cywilizacyjną polskiego narodu. W życie wewnętrzne Polski, w rozmaitych jego dziedzinach, kraj ten niejednokrotnie wnosił wkłady szczególnie wartościowe, wystarczy wspomnieć rolę posłów inflanckich na Sejmie Czteroletnim i udział ich w przygotowaniu i uchwaleniu Konstytucji Trzeciego Maja. Nawet w czasach niewoli rosyjskiej żywioł polski zachowywał w kraju tym stanowisko pod względem kulturalnym przodujące. A i dziś najwybitniejszy z żyjących powieściopisarz polski, „najbujniejszy" — jak trafnie określa Piszczkowski [1]) — „a zarazem najelegantszy epik krajobrazu naszego" — Józef Weysenhoff nie skąd inąd, jeno z Inflant jest rodem...

Jednocześnie wieści o prześladowaniach łotewskich budzić muszą w Polaku dzisiejszym poczucie głębokiego upokorzenia. Więc już tak nisko zeszliśmy, zagłuszani frazesem „mocarstwowym", więc w ten sposób odważa się traktować Polaków maleńka Łotwa, licząca 1 600.000 mieszkańców, kraj, zaludniony słabiej, niż przeciętne, pojedyńcze polskie województwo!... Doprawdy, nie potrzeba wiele trudu, by zorjentować się w obecnem położeniu rodaków naszych za północnym kordonem. Wystarczy ton i wystarczą fakty, jakie wyczytać można w „uspokajającem wyjaśnieniu", udzielonem korespondentowi Polskiej Agencji Telegraficznej przez poselstwo łotewskie w Warszawie:

„Związek Polaków na Łotwie i Związek Polskiej Młodzieży Katolickiej nie są zamknięte, ale działalność tych organizacyj na zasadzie odnośnej decyzji sądowej została chwilowo zawieszona za antypaństwową działalność, przewidzianą w art 102 K K. Łotwy. Z tych samych motywów zostało zawieszone wydawnictwo dziennika polskiego w Daugavpils (Dyneburgu, przyp.) „Dzwon". Jednocześnie zamknięto 6 szkół, utrzymywanych przez Związek Polaków na Łotwie...

Departament szkolny ministerstwa oświaty publicznej zarządził... że w łotewskich i mieszanych szkołach religja powinna być wykładana w języku łotewskim.

Jest aresztowany tylko jeden kandydat z listy polskiej do Sejmu..."

A do tych, urzędowo potwierdzonych, informacyj dodają dzienniki coraz dalsze: o procesach sądowych za śpiewanie pieśni polskich w kościele, o rozpędzaniu kolbami przez policję polskich zebrań przedwyborczych, o zamknięciu teatru polskiego i t. d...

Wobec jednak wypadków na Łotwie nie wystarcza reakcja uczuciowa: wskazana jest rozumowa analiza zdarzeń. W jej świetle ostatnie fakty przedstawiają się jako jeden więcej objaw bankructwa systemu politycznego, w którym nasz dotychczasowy stosunek do Łotwy był nader charakterystycznym fragmentem.

Jeśli chodzi o zagadnienie Inflant Polskich, zarysowały się w polityce Polski odradzającej się dwa różne stanowiska, dwa odmiennie pojmowane programy. Program narodowy sformułowany został w „Memorjale o terytorjum Państwa Polskiego", złożonym przez R. Dmowskiego prezydentowi Wilsonowi w Waszyngtonie dn. 8 października 1918 r.:

„Część zachodnia gubernji witebskiej (Inflanty Polskie) z miastem Dyneburgiem i wschodni kraniec Kurlandji (powiat Iłłukształski) są zamieszkane przez ludność mieszaną polską i łotewską, przyczem Polacy przeważają w życiu ekonomicznem i umysłowem. Włączenie terytorjów tych do Państwa Polskiego byłoby wskazane w razie, gdyby Kurlandja i Liwonja nie miały należeć do Rosji" [2]).

Podobną tezę wysuwała nota Delegacji Polskiej na Konferencji Pokojowej, podpisana przez Romana Dmowskiego, a przesłana przewodniczącemu komisji terytorjalnej dn. 3 marca 1919 roku. W szczególności, w sprawie powiatu Iłłukształskiego zaznaczał Dmowski:

„Powiat ten rewindykowany jest przez Polskę ze względu na swoją pozycję geograficzną i na przewagę ludności elementu polskiego. Tutaj granica idzie brzegiem (*limite*) powiatu Iłłukształskiego do rzeki Dźwiny i przechodzi na jej prawy brzeg (gubernja witebska), ażeby postępować ku wschodowi równolegle do rzeki, a w odległości około 30 kilometrów, do granic powiatu Dryseńskiego..." [3]).

Program odmienny, urzeczywistniany przez ówczesnego wodza naczelnego i naczelnika państwa, Józefa Piłsudskiego, wyraził się w nie podyktowanem nieodpartą koniecznością wojskową dopuszczeniu do współdziałania wojsk łotewskich przy zdobywaniu przez armję polską Dyneburga (dn. 3. I. 1920 r.) oraz we wszelkich, wynikających stąd, politycznych następstwach tej współpracy. Kiedy zaś, po zwycięstwie pod Warszawą w sierpniu 1920 r., wojska nasze odzyskiwały po kolei utracone przejściowo wskutek klęski kijowskiej terytorja, tenże sam program znalazł wyraz w pozostawieniu pod panowaniem łotewskiem nietylko całego północnego brzegu Dźwiny, ale nawet na południowym jej brzegu sześciu gmin: demeńskiej, borowskiej, boruńskiej, kałkuńskiej, skrudelińskiej i sołomiańskiej, gdzie według spisu, sporządzonego przez Zarząd cywilny Ziem Wschodnich w r. 1919, ludność polska wynosiła 56% mieszkańców, ludność łotewska — 3%, resztę zaś stanowili t. zw. „starowiercy", niemcy, żydzi, białorusini i t. d. Zamiast własnej oceny tej polityki, wystarczy przytoczyć, co dzisiaj, po latach jedenastu, powiedzieć może o jej wynikach p. Wacław Szadurski w sanacyjnym wileńskim dzienniku „Słowo" (art. pt. „Na ostrzu" z dn. 11 października r. b.):

„Ustępstwa wspaniałe — poświęcenie nie tylko b. Inflant Polskich, wywalczonych krwią żołnierza polskiego, bez zastrzeżenia praw naszych do mienia, lecz i 6 gmin, kosztem których można było zabezpieczyć nietylko prawa nasze do mienia, lecz i szereg praw mniejszości polskiej na Łotwie...

---

[1]) Mieczysław Piszczkowski: „Józef Weyssenhoff, poeta przyrody". Lwów, 1930.

[2]) Roman Dmowski: „Polityka polska i odbudowanie państwa". Warszawa, 1925, str. 615 (Aneksy).

[3]) *Ibid*, str. 625.

...W dniu 10 maja roku 1927, gdy Łotwa święciła 10-letni jubileusz połączenia Latgalji (b. Inflant Polskich) pisałem, iż nie od rzeczy będzie przypomnieć w dniu tego jubileuszu, że Inflanty Polskie zostały w końcu r. 1919 i na początku 1920 zawojowane krwią żołnierza polskiego. O tem rząd łotewski w dniu jubileuszu zapewne zapomniał, lub może przypomnieć nie chciał. Być może i z naszej strony byłoby lepiej pokryć zasłoną zapomnienia nie tylko przeszłość historyczną dawnych Inflant Polskich, lecz i lata ostatnie. Zaiste nie dają lata te powodów, aby szczycić się wynikami polityki naszej na terenie Łotwy. Nie dała nam ta polityka altruizmu, pomocy, ustępstw, przyjaźni nowopowstałego państwa łotewskiego, dała nam raczej wrogie usposobienie do wszystkiego, co polskie".

Niemniej pod jednym względem postępowanie ówczesnego naczelnika państwa i wodza naczelnego Piłsudskiego obronić trzeba przed nieuzasadnionym dostatecznie, a wielokrotnie, zwłaszcza przez zwolenników jego powtarzanym, ciężkim zarzutem. Mówi się często, iż naczelny wódz okazał wówczas wobec Łotwy „altruizm", „wielkoduszność", iż „gestem szlachetnym ofiarował", „odstąpił bezinteresownie" państwu łotewskiemu duży kraj po obu brzegach Dźwiny. Podobne stawianie sprawy jest pomysłem conajmniej niewłaściwym. Jenerał czy dostojnik państwowy może, gdy zechce, okazywać „wielkoduszność" i „ofiarować" np. swoją pensję miesięczną (wraz ze wszystkiemi „remuneracjami" i „dodatkami"), ale nie część narodowego terytorjum, przecież nie na jego użytek prywatny przekazanego pracą i krwią długiego szeregu pokoleń.

To też słuszniej niewątpliwie będzie stwierdzić, iż oddanie Łotwie Inflant Polskich nie było „prezentem", nie było „gestem", pozbawionym politycznych widoków i planów, ale przeciwnie, było wynikiem określonego programu politycznego, tylko programu błędnego. Było ono logicznem ogniwem tej polityki, która wiosną r. 1920 podyktowała zawarcie tajnego układu z Petlurą i pamiętną wyprawę na Kijów, polityki stwarzania i popierania na zachodniej granicy Rosji łańcucha państw, zjednoczonych wspólną postawą antyrosyjską. „Front przeciwrosyjski" wydawał się głównym, jedynym bodaj nakazem „racji stanu" ludziom, którzy w walce podziemnej z rządem carskim strawili młodość i niezdolni już byli wyrwać się z ciasnych horyzontów, zastarzałych nałogów myślowych dawnych, konspirujących przeciwko Rosji rewolucjonistów.

Tymczasem zgóry można było przewidzieć, że Łotwa, zważywszy jej warunki geograficzne i położenie gospodarcze, skłonna będzie raczej do porozumienia się z Rosją, a otrzymanie Inflant niczem właściwie do zmiany tego kierunku polityki łotewskiej nie mogło się przyczynić. Nawet już p. Władysław Studnicki zaczyna się w tej sprawie orjentować, skoro na wiecu dn. 7 b. m. w Wilnie mówił, między innemi, co następuje:

„Łotwa jest w znacznej mierze filo-rosyjską. Na konferencji państw bałtyckich w 1921 r. delegat Łotwy Kalning proponował unję celną państw bałtyckich z Rosją. Wiemy, że unja celna jest częściową unją realną..., lecz Łotwa na to idzie. Istnieje t. zw. klauzula bałtycka wzajemnych ceł preferencyjnych między Łotwą, Litwą, Estonją a Rosją".

Dlatego smętne przypominanie przez prasę sanacyjną, że Polska jest „gwarantką" niepodległości Łotwy i powoływanie się na rok 1920, niewielkie, zdaje się, sprawia wrażenie na politykach ryskich, usuwających polską naukę religji w szkołach i rozwiązujących polskie stowarzyszenia. Ale Polska, prowadząca rozumną, konsekwentną politykę zagraniczną, zabezpieczona na swej wschodniej granicy dobremi stosunkami z Rosją, stanie się także i dla Łotwy sąsiadem, o którego względy warto zabiegać. Wówczas spokojni będziemy mogli być o swobodę rozwoju narodowego rodaków w Inflantach Polskich i wogóle o ich przyszłość.

JAN REMBIELIŃSKI

NAUKA I LITERATURA

ROSJA POD WŁADZĄ ŻYDÓW

POD takim tytułem [1]) pojawiła się niedawno książka w języku francuskim. Na wstępie znamienne *motto:* „Do narodu rosyjskiego. Oby ta książka otwarła oczy innym narodom chrześcijańskim, aby je zjednoczyć dla zwycięstwa nad ich ciemiężcami".

Wezwanie to rzuca dużo światła na nastrój samego autora, a także i na stosunek emigracji rosyjskiej do narodów chrześcijańskich. Bije z niego pewna świadomość rzeczywistości, pewność nawet, że się ją poznało, a obok niej bezradność wobec życia i rozpaczliwe wołanie o pomoc. To jakby widok żałosny muchy, wysysanej przez pająka i wzywającej słabemi drgawkami o ratunek i pomoc swych krewniaczek przeciwko wspólnemu ciemiężcy. Jej samej brak już sił do obrony.

Tragizm i rozpacz wyzierają z każdej strony niniejszej książki. Nie to jednak interesuje nas w tej chwili. Wiemy już o tem aż nazbyt dobrze, czem pod rządami bolszewizmu stała się ziemia rosyjska dla narodu rosyjskiego. Wiemy z własnej obserwacji, kto pracuje w bolszewizmie, jako jego *spiritus movens*

Materiały, któremi autor przepełnił książkę, wskazują niezbicie na kierowniczą rolę narodu wybranego w dziele zniszczenia i spustoszenia Rosji. Ale — czy tytuł książki i jej *motto* nie mówią czegoś więcej? Czy nie wskazują na to, że autor widzi w zbolszewizowaniu Rosji przez żydów wykonanie jakiegoś świadomego czynu, jakiegoś celowego planu?

Niewątpliwie widzi. I tu budzi się nasze zainteresowanie. Jaki to plan dostrzegł ów Rosjanin-emigrant, tak bliski intelektualnie i duchowo swym współziomkom-tułaczom, że do nich właśnie kieruje westchnienie: „oby inne narody chrześcijańskie..."?

Przekonywamy się, że autor świadomie dał książce tytuł i *motto*. Ale wyjaśnienie, jakie daje, by objaśnić cele, dla których żydowstwo zniszczyło Rosję, nie może nas zadowolić zupełnie.

Znajdujemy w książce powiedzenia ważkie i przygotowane całą jej treścią. „Niepodobna wątpić o istnieniu ogólnej organizacji, kierującej tajnie wszelką działalnością żydów i złożonej z wszechświatowych kierowników żydowstwa" (str. 346).

A jednak? Napróżno szukamy dostatecznego wyjaśnienia w książce, jakie były istotne i racjonalne cele owej „kierującej tajnie organizacji wszechświatowych kierowników" w rozpętaniu orgji mordów i zniszczenia. Autor całą książką wskazuje nam tylko na chęć żydów dokonania pomsty nad Rosją carską i antysemicką. Nie wiąże niemal dzieła żydowskiego w Rosji z jakiemiś istotnie światowemi celami owych „kierowników wszechświatowych żydowstwa". Nie wiąże go zupełnie z jakiemiś dążeniami szerszemi, któreby można nazwać żydowską polityką dziejową. W ten sposób staje przed próżnią, której nie potrafił zapełnić ani on, ani inni. Naskutek tej luki ustępy książki, poświęcone żydom w innych krajach, zdołał zapełnić tylko suchemi informacjami o wpły-

[1]) D. Petrowsky: „*La Russie sous les Juifs. Paris 1931. Edition Baudinière*. Str. 381.

wach i sukcesach żydów i o panujących w tych krajach nastrojach antyżydowskich. W ten sposób pociesza swoich współrodaków. Nie jest tak źle—zdaje im się mówić—bo nie tylko my, Rosjanie, ale i inne narody nie lubią żydów.

Niczem nie uzasadnił autor, dlaczego te inne narody—w myśl jego *motta*—mają się zjednoczyć przeciw „wspólnym ciemięzcom". Zdawał sobie chyba sprawę z tego braku, gdy apelu do „innych narodów chrześcijańskich" nie skierował do nich wprost, lecz do narodu rosyjskiego.

Do tych narodów, których współdziałania pragnie, mógł był apel swój skierować, gdyby był uzasadnił, czemu ci, co uciemiężyli Rosję, są także ich ciemięzcami, albo gdyby był choć wskazał takie cele dokonanej na Rosji zbrodni, któreby się wiązały z bytem tych narodów.

A przecież nagromadzone przez Petrowskiego materjały są tak olbrzymie, że wprost nieprzebrane. Niektóre rozdziały proszą się o wyzyskanie dla ujawnienia syntetycznego planu „wszechświatowych kierowników", np. rozdział o kolonizacji żydowskiej na Krymie, Ukrainie i Białej Rusi, popieranej przez całą finansjerę żydowską.

Nie tu pora i miejsce, by wyręczać autora w tej djagnozie. Wystarczy stwierdzić, że książka niniejsza jest jednym dowodem jeszcze na niepodobieństwo logicznego związania jakiegokolwiek „dzieła światowych kierowników" z dostrzegalną dla każdego rzeczywistością, jeżeli się nie posiada dostatecznej znajomości stosunków na świecie i działalności żydów w ciągu dziejów. Plan „wszechświatowych kierowników żydowskich" może być bowiem tylko istotnie światowy i związany z historją. Na słuszność tego twierdzenia wskazuje zarówno dzisiejsze położenie żydowstwa w świecie, jak i odwieczny charakter jego politycznych działań.

Książka Petrowskiego — to krzyk bólu narodu rosyjskiego; wstrząśnie on każdym cywilizowanym człowiekiem, przekona każdego niedowiarka, że to żydzi świadomie storturowali Rosję. Ale poco to czynią? Mimo znanej mściwości narodu Izraela, trudno przypuścić, by ślepa chęć zemsty mogła być powodem gigantycznego zamachu na cały, wielki naród, zamachu bądź co bądź ryzykownego i mogącego się obrócić groźnie przeciw jego kierownikom.

Prawdę poznaje się najboleśniej, ale i najtrafniej na własnej skórze. Dzisiejsza emigracja rosyjska nauczyła się już myśleć. Nie doszła jeszcze do ostatecznych wniosków, lecz z książki Petrowskiego widać, że się do nich zbliża. A gdy do nich dojdzie, wówczas apel do „innych narodów chrześcijańskich", będzie mogła skierować wprost do nich.

HENRYK ROLICKI

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Z Krakowa donoszą nam:

W dn. 8 października w szczelnie zapełnionej sali Kopernika U. J. odbył się pierwszy wykład Prof. Ignacego Chrzanowskiego z serji „Życie i twórczość Słowackiego". Wykład przeniesionego obecnie w stan spoczynku zasłużonego i cenionego historyka literatury zaszczycili swoją obecnością: dziekan Wydz. filozof. U. J. Prof. Szafer, profesorowie: Hoyer, Siedlecki, Zaremba, Pigoń, Demetrykiewicz, Pagaczewski, Garbowski, Sternbach, Smoleński, Folkierski, doc. Kołaczkowski i inni. Po wykładzie i wręczeniu kwiatów przez przedstawicieli Koła Polonistów S. U. J. urządzono powszechnie kochanemu i szanowanemu profesorowi gorącą owację.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazała się w handlu księgarskim powieść Kazimierza Wybranowskiego „Dziedzictwo", wydana nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu (Cena 10 zł.). Jest to dzieło wyjątkowego znaczenia. Obudziła powszechne zainteresowanie i jest rozchwytywana. Jest to powieść współczesna, z niezwykle zajmującą intrygą kryminalistyczną, ale bardzo przytem pouczająca, wprost rewelacyjna, jeśli chodzi o poznanie stosunków w społeczeństwie. Ze względu na jej szczególną wagę poświęcimy jej uwagę w obszerniejszym artykule.

*

Koło b. wychowańców szkół ziemi Płockiej wydało „Księgę pamiątkową Koła Płocczan" (Warsz. 1931. Druk. W. Łazarskiego. Str. 320 i 14 kart ilustr.). Wydanie wytworne i bogate objętością odpowiada trzem tomom „Pamiętnika Koła Kielczan", a kosztownością je przewyższa. Redakcja umiejętna znanego bibljofila Stefana Dembego.

Bogata treść rozpada się na cztery grupy: 1) Płock i jego szkoły, 2) Życie kulturalne w Płocku i jego przedstawiciele, 3) Wspomnienia b. wychowańców, 4) Sprawy Koła, mianowicie zjazdu z r. 1924.

Znaczenie ogólne i dużą wartość historyczną mają prace: historja płockiego Tow. Naukowego, napisana przez p. Halinę Rutską, „*Bene merentes*" przez Stefana Dembego, dwie prace dr. Aleksandra Macieszy: o młodości Edwarda Jurgensa oraz artykuł o Leonie Rutkowskim, jako badaczu naukowym. Bardzo ciekawe są też wspomnienia, zwłaszcza L. Krzywickiego i Jana Lemańskiego.

Nowością dla wielu ludzi w Polsce będzie informacja o płockiem Tow. Naukowem i Muzeum. Piękna to kartka w dziejach Płocka, a pomnik za życia—niestrudzonego dr. Al. Macieszy! Wszystkie polskie miasta powinny się wczytać w karty tych dziejów.

Górowanie kulturalne Płocka nad Mazowszem tłumaczy się tradycjami jego, jako stolicy królewskiej. Z pracy p. Dembego przekonać się możemy, ilu zasłużonych dla kultury polskiej ludzi wydało Mazowsze płockie. Oto niektóre nazwiska z zakresu literatury. W XVI w. autor znajduje 6 pisarzy, między nimi Sarbiewski, w XVIII w. Andrzej Zamoyski, Winc. Gawarecki. W XIX: Nakwaski, Sztyrmer, Majorkiewicz, Kenig, Wł. Wolski, K. Machczyński, Z. Gawarecki, Józef Narzymski, Winc. Rapacki, Ern. Świeżawski, Winc. Zakrzewski, architekt J. Dziekoński, aktor B. Ładnowski, K. J. Jasiński, M. Wołowski, Wł. Smoleński, Kaz. i Stanisław Chełchowscy, Kaz. Zalewski, Andrzej Niemojewski, Ludwik Włodek, Zuz. Morawska, Ludw. Godlewska. Pozatem wielu uczonych jak: Sobierański, Jan Zawidzki, Sz. Dzierzgowski, Krzywicki. Stąd pochodzą arc. Kakowski i prez. Mościcki.

Samo Koło b. wychowańców nie wykazało się pracą dla swego ogniska, a wychowańcy rozproszeni po kraju powołani są do niesienia pomocy niewielkiemu kółku działaczy kulturalnych w Płocku.

„Księga pamiątkowa" wydana bardzo starannie, jednak w błędach druku tak drobiazgowo wskazanych, nie poprawiono błędnie naszem zdaniem pisanego w całej książce wyrazu: „Płocczanie". Powinno być: „Płoczczanie", więc i w tytule: „Koła Płoczczan". A to na tej samej zasadzie, dla której mówi się nie Pińszczyzna, lecz Pińszczyzna, nie Kielecczyzna, lecz Kieleczczyzna, Sądeczczyzna, Słowaczczyzna. (W.)

*

W roku zeszłym Koło Filologiczne studentów uniw. Jagiell. obchodziło 50-tą rocznicę swego założenia. Na uroczystym obchodzie w auli uniwersyteckiej wygłoszono wiele przemówień i odczytów, z których jednym był odczyt b. prezesa Koła, a dziś rektora uniw. poznańskiego, prof. Sajdaka, na temat: „Studja patrystyczne w Polsce". Rzecz ta obecnie ukazała się w osobnej broszurce (nakładem uniw. poznańskiego), z której dowiadujemy się ciekawych szczegółów. Oto na polu patrystyki Polska zdawna dzierży jedno z pierwszych miejsc. Studja na tem polu zapoczątkował już w XVI w. człowiek tak niepospolity, jakim był biskup Tomicki. Nazwiska Grzebskiego, Pliszki, Herbesta, Wujka, bisk. Załuskiego, króla Leszczyńskiego, Michała Szyszki, bisk. Hołowiskiego, ks. Pawlickiego, profesorów Miodońskiego i Morawskiego — świetnych znawców, komentatorów i tłumaczów dzieł Ojców Kościoła — znane są dobrze w dziejach kultury polskiej. Piękna tradycja żyje po dziś dzień. Tak wybitni uczeni, jak ks. Fijałek, prof. Witkowski, Zieliński, Sternbach, Sinko, Przychocki, zmarły niedawno biskup Lisiecki i inni zdobyli na tem polu imię nietylko u nas, ale i w świecie szerokim. Skromność nie pozwoliła prof. Sajdakowi mówić o zasługach własnych, które są bodaj największe. Prawdziwą chlubą polskiej nauki jest redagowana przez niego „Bibljoteka Ojców Kościoła", obejmująca dotąd XIV tomów dzieł Euzebjusza z Cezarei, św. Justyna, św. Augustyna, Boecjusza, Kasjana, Wincentego z Lerynu i in. O bibljotece tej pisaliśmy już parokrotnie; wrócimy do niej, gdy ukażą się dalsze tomy „*De civitate Dei*" świętego Augustyna, będące właśnie w druku. (J. B.)

*

T. zw. „romans awanturniczy" (mówiąc ściślej: powieść podróżnicza lub „przygodziarska") dostał się dzięki Defoe'mu, Swiftowi, Stevensonowi i in. niemal pod literacką okupację Anglików. O pisarzach innych narodowości mniej się zwykło mówić na tym terenie. Dlatego też nieznanem dotąd było w Polsce nazwisko włoskiego pisarza, kapitana Emila Salgariego (zmarłego tragicznie w r. 1911). któ-

ry tak płodnością jak i barwnością swych opowieści prawie nie ustępował starszemu nieco swemu rywalowi J. Verne'owi, górował nad Maine Reidem i Marryatem, a już stanowczo przewyższał Karola Maya. Nazwisko jego zresztą uległo niesłusznemu zapomnieniu nawet w ojczyźnie i dopiero powojenne Włochy, stawiając sobie za cel odrodzenie potęgi morskiej swego kraju, przypomniały sobie tego śmiałego żeglarza, co zwiedził wszystkie oceany i walczył w obronie uciemiężonych drobnych narodów egzotycznych. Odtąd nazwisko Salgariego weszło nietylko do podręczników literatury, ale i do czytelń — zwłaszcza czytelń młodzieży, zarówno we Włoszech jak i poza granicami tego kraju. U nas zainteresowała się nim księgarnia Św. Wojciecha, zapoczątkowując wydanie serji jego dzieł w przekładach polskich. Ukażą się wkrótce dzieła jego najgłośniejsze, jak „Dramat na Oceanie Spokojnym", „Tajemnice Czarnej Dżungli", „Król Prerji"; dotychczas otrzymaliśmy przekład niemniej ciekawej powieści p. t. „Góra światła". Nazwę, wymienioną w tytule, nosił słynny brylant Kohinoor, który niegdyś znajdował się w jednej ze świątyń indyjskich, obecnie zaś należy do skarbcu cesarstwa Indyj. Zanim tam przewędrował, miał niezwykłe koleje — które właśnie złożyły się na osnowę powieści. Osnowa to barwna i intrygująca. Autor (który niemal wyprzedził chronologiczne Kiplinga, gdy chodzi o znawstwo stosunków indyjskich) roztoczył przed czytelnikiem szereg szczegółów, które i dziś zaciekawiają, mimo że spoufaliliśmy się z Indjami bardziej, niż nasi ojcowie i dziadkowie. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Akcja *„Huitième Péché"* (Albin Michel édit.) odgrywa się na wyspie Malcie, mając za to całe jej średniowieczne dekoracje, rycerskie wspomnienia. Tam to bowiem wprowadzi nas autor, p. J e a n V i g n a u d, a właściwie nie nas, ale przedewszystkiem całą kinematigraficzną trupę aktorów, z jej piękną *vedette*, Edith Rolland na czele. To przeciwstawienie historji, tak żywo jeszcze zachowanej na Malcie, dzisiejszym nowoczesnym elementom „dziesiątej" muzy przynosi dużo kontrastu, frapującego imaginację czytelnika. Kontrast ten nie obrazów już, ale uczuć, stanie się jeszcze większy, gdy Edith Rolland, przyzwyczajona do hołdów, a żyjąca wyłącznie dla kultu swego ciała, przekona się pod wpływem pierwszej swej miłości, iż istnieje w życiu i inny kult, a mianowicie ducha, któremu pierwszy musi podlegać. Wówczas następuje w jej egzystencji, w jej czuciu najzupełniejsza przemiana. Zanim jednak do niej przyjdzie, autor zręcznie wprowadzi czytelnika w najrozmaitsze tajniki maltańskiej historji. Pod koniec dopiero dowie się on, że Edith wreszcie zrozumiała, iż współczesnym ósmym grzechem głównym jest właśnie egotyzm, nie tyle intelektualny, co przedewszystkiem fizjologiczny; Edith hołdowała mu przez lata; aż wreszcie pod wpływem Henri de Montferrat, jednego z potomków kawalerów maltańskich, przebudzi się jej dusza do innej egzystencji. Wtedy zaś wyrzeknie się marnych, doczesnych satysfakcyj, by udać się za ukochanym w głąb Afryki i wraz z nim pielęgnować nieszczęsnych, chorych, trędowatych. Książkę p. Vignaud czyta się z zaiteresowaniem; napisana ona jest żywo, ale może trochę za bardzo „kinematograficznie". Odnosi się bowiem wrażenie, iż autor, pisząc swą powieść, miał odrazu zamiar, by posłużyła mu za kanwę do przyszłego scenarjusza ekranowego (J. B.).

TEATR

KATASTROFA M. MASZYŃSKIEGO

PAN Marjusz Maszyński, przemiły aktor teatrów Polskiego i Małego, cieszy się tak wielką sympatją publiczności, że może być jej pewien w każdym wypadku, nawet gdy sam pisze dla siebie sztuki. Sympatyczna atmosfera i stały aplauz zachęcają i ośmielają. Doskonale to służy p. Maszyńskiemu jako aktorowi, ma bowiem talent, tak niezawodzący go nigdy, że zawsze z nadwyżką publiczność za tę sympatję będzie wynagrodzona.

P. Maszyński ma nietylko intuicję i ową wewnętrzną wesołość, która z niego czyni wybornego komika, ale i pełną świadomość artystyczną. Jest to artysta, który umie się zastanawiać nad swoją grą, kontrolować ją, nawet znać z doświadczenia prawa, kierujące twórczością aktorską. Dał tego dowód w bardzo mądrym artykule (czem jest premjera dla aktora), w „Świecie", zdaje się, z grudnia roku ubiegłego.

Dotąd wszystko w porządku zachwycającym. P. Maszyński w owych wyznaniach swoich dał dowód, że umie patrzeć objektywnie na swoją twórczość aktorską. Spostrzegł mianowicie, że sekretem jego swobody na scenie jest pewność siebie, a tej pewności sekretem jest przewcielenie się w człowieka i sytuację, jaką mu poddał dramaturg. Długo siedzi nad tekstem sztuki i przepisaną rolą, aż mu człowiek, którego ma grać, stanie plastycznie w oczach. Potrochu, na próbach, utożsamia się z nim przez przedrzeźnianie, wchodzi w jego skórę i potem już go nie udaje, lecz jest nim, tym człowiekiem. Gdy wypadnie oddać wreszcie rolę, to jakby z niego, Maszyńskiego, zdzierano skórę i odbierano mu indywidualność.

Jest to świetnie podpatrzony proces pracy talentu o d t w ó r c z e g o. My jednak śledzimy dalej p. Maszyńskiego. Przybywają nowe czynniki psychologiczne: publiczność, chwała, stąd poczucie władania teatrem: teatr—to ja. Gdyby nie ja, nie byłoby roli, nie byłoby sztuki. Zapewne — był reżyser, były dekoracje, no tak: był i autor. I autor. Ale cóżby poradził autor, gdyby mu sztuki nie zagrał aktor? Poczucie władania jest pochłaniające, dąży do samostarczalności. Obcowanie z tekstami oswaja aktora z literaturą, nawet spoufala, że wreszcie uważa ją tylko za środek pomocniczy teatru. Jeżeli przytem ma pewną kulturę osobistą i umie pisać, to on jest pierwszy, który wynajdzie przysłowie: „Nie święci garnki lepią".

I oto mamy zjawisko, że czynnik psychologiczny pochodny—poczucie potęgi aktorskiej przerzuca artystę przez Rubikon, odgraniczający sztukę odtwórczą od twórczej. Ten wypadek zdarzył się Maszyńskiemu.

Jeżeli Szekspir — jak powiadają — był też aktorem, to zapewne był aktorem podrzędnym. Tylko jakiś szczególny traf natury mógłby obdarzyć jednostkę dwoma talentami naraz: twórczym i odtwórczym. Chyba w muzyce, dzięki naturze tej sztuki, sława pokrywa czasem twórcę i wirtuoza w jednej osobie (Liszt, Paderewski).

Kształty, które twórca nadaje rzeczom tworzonym, wyłaniają się z jego przeżyć bezpośrednich. Sztuce, jej korzeniom i kwiatom, potrzebne są ziemia i słońce. Tych warunków nie zastąpią deski sceniczne i kinkiety. Tu można tylko odtworzyć dzieło sztuki; z samej atmosfery teatru nic żywego się nie wylęgnie, chyba mól.

P. Maszyński, artysta godzien uwielbienia, doznał wrażenia i niem się pokierował, że można od końca z efektów śmiechu, przez ułożenie ich w obraz, dojść do dzieła dramatycznego, wkorzenionego, mającego życie samoistne. Układając swoją „Katastrofę", wystawioną teraz w teatrze Małym, myślał o aktorach, nie o ludziach. Dramatu, nawet farsy dostarcza życie przez to, że coś się w niem dzieje i plącze. Tyrady patetyczne nie zlepią tragedji, dowcipne djalogi i przesiadania nie są same przez się — farsą. Życie jest źródłem humoru, a z dobrego dowcipu nie da się odwrotnie wyprowadzić życia.

P. Maszyńskiego wyobraźnię zaprzątnął dowcipny kalambur: Pocałunek jest katastrofą. ¿Dlaczego? Bo to jest spotkanie się dwu „pociągów". Coprawda nie parowych, lecz psychicznych, ale „para" jest tu niezbędna. I zostawiwszy ten dowcip na *pointe*, całą sztukę do niej dorobił. Nawet dorobił prawdziwy pociąg kolejowy (cały akt trzeci dzieje się w wagonie); dorobił pannę, inżyniera, szlagona, wróża, nastroje... Zestawiał to jak wagony i pchał tyłem na swój „pociąg" aktorski. I tu nastąpiła katastrofa — artystyczna. Ofiarą padła komedja.

Farsa bywa karykaturą życia, ale nie może być czemś bezdusznem, wykluczającem prawa psychiczne. P. Maszyński zaś tak zneutralizował się, jako podwójny artystu, zajęty swoim konceptem, że zapomniał o publiczności, która ma jechać jego pociągiem i którą ma porwać przecie nie czem innem, tylko uczuciem, zżyciem się jej z postaciami na scenie. Więc np., jak ona ma śmiać się w akcie drugim

z Joasi, kiedy jej położenie jest dramatyczne i budzi głębokie spółczucie u publiczności. Autor poprostu przejechał człowieka i ani spostrzega tego. Albo drugi przykład: autor robił wszystko, żeby uprawdopodobnić konieczność katastrofy — pocałunku. Tymczasem swój ideał kobiecy w ostatnim akcie ośmiesza paskudną histerją. Przecież sympatyczniejsza jest Joasia.

„Katastrofa“ pozbawiona treści dramatycznej, nie mająca żadnego wewnętrznego zmocowania, mogła nas zająć tylko dlatego, że zrobili nam przyjemność towarzyską tak utalentowani i sympatyczni aktorzy, jak sam Maszyński, Modzelewska, Daczyński, Zielińska, Łapiński i inni. Sztuka tyle była warta, ile się na nich patrzyło, ale większą ma wartość taka sztuka, o której z zadowoleniem można pomyśleć choć chwilę. Niechżeby zagrali ją aktorzy gorsi, byłaby tyle warta, ile warte są dekoracje.

P. Maszyński przekonał nas, że miał rację w swoim pomienionym wyżej artykule, iż artyzm aktorski pochłania indywidualność artysty, mającego zadanie odtworzyć dzieło dramaturga. Nie przekonał nas jednak, aby starczyło tej indywidualności na stworzenie z niczego owego pierwowzoru z duszą i kształtem. Jeżeli zaś tak jest, że trzeba wybierać między twórczością poetycką dramaturga a odtwórczością sceniczną aktora, to wolałbym, żeby p. Maszyński wybrał to drugie.

To go nie zawiedzie, to jego p wołanie.

Z. W.

ZE ŚWIATA SZTUKI

POZOSTAŁO nam jeszcze omówić prace trzech członków Szkoły Warszawskiej, których charakterystyka wykroczyła poza ramy poprzedniego artykułu. Są to pp.: Arct, Bylina i Rak.

Pejzaże Arcta dobrze świadczą o pracy artysty nad sobą. Trafne i czyste w kolorze, bez uciekania się do brutalnej jaskrawości, zapełniają prostokąty płócien gęstwą umiejętnie zestawionych plam. Malarz nie wyszukuje w krajobrazie brył, ani nie podkreśla jego plastyczności, najchętniej poprzestając na takich motywach, gdzie ten właśnie rodzaj techniki może znaleźć najodpowiedniejsze zastosowanie. Oto np. gmatwanina zieleni sadu, oto fragment sadu pod światło, dalej targ w miasteczku, z mrowiem ludzkiem. Jest to materjał dla malarza przedewszystkiem, niewiele tu się pożywi rysownik. Być może, iż wybór podobnego stanowiska podszepnął artyście zdrowy instynkt malarski; różnorodne gałęzie sztuk często się odwiedzają i w malarstwie współczesnem odnajdujemy nierzadko pierwiastki grafiki, rzeźby, lub plakatu *).

W sztuce bywają przypływy i odpływy, nie tak jak w nauce, która z dnia na dzień wznosi się coraz wyżej. Ale i tutaj dokonywa się pewnych wynalazków: więc rewelacja wczorajsza jutro może stać się abecadłem dla dzieci. Pierwszy namalowany niebieski śnieg był małą rewolucją, ale dziś wszyscy go widzą na niebiesko i każdy gamoń tak maluje. Artysta od czasu do czasu musi przecierać oczy, pokryte bielmem konwencjonalizmu, aby zobaczyć świat na nowo. Z umiarkowaną nowoczesnością Arcta zawsze się pogodzimy: polega ona właśnie na kontroli, czy to, co się widzi, nie jest przypadkiem, z lenistwa, oglądane przez cudze okulary.

Malarstwo Byliny zasługuje na baczniejszą uwagę, poza poziomem, także z powodu kilku odrębnych i względnie rzadkich właściwości. Przedewszystkiem temat. Zwykło się mniemać, że nie on właśnie w sztuce, tylko jego ujęcie różni między sobą ludzi i epoki. Mniemanie to dziś zyskało jeszcze na sile, dziś, gdy temat (anegdota, treść) niejednokrotnie staje się niemal pretekstem, punktem wyjścia dla dokonania formalno-artystycznych rozwiązań. Co jednak każe, przy ogólnem ciążeniu artystów do nieustannie tych samych tematów, niektórym z nich sięgać po treść gdzieindziej? Czy wybór jej nie świadczy w ten lub inny sposób o indywidualności artysty jeszcze przed powstaniem dzieła? I dlatego, to, że Bylina maluje konie, nie jest tak proste, ani jasne, jakby się na pozór wydawało. Tembardziej, że konia Byliny nie możemy nazwać pretekstem, aluzją, przy której pomocy można się wypowiedzieć. Jest on tylko sobą, zwierzęciem o ściśle określonej anatomji. Malowany ze swadą, ale nie wedle jakichś ultra-nowoczesnych przepisów, różni się od swych historycznych (z naszego malarstwa) towarzyszy tylko daniem mu innej roli. Rola ta czasem urasta do głównej, jak np. w obrazie „Bitwa“, gdzie dramat rozgrywa się między końmi, a nikłe figurki ludzkie na horyzoncie są tylko dodatkiem, zupełnie już dekoracyjnym, jak obok nich sylwetki drzew. Umiejętna inscenizacja obrazu daje mu niebanalny wyraz i stawia w rzędzie najlepszych dzieł Byliny. Malarz posiada łatwość techniczną, godną doprawdy zazdrości; wszystko, czego się tknie, robi „śpiewający“. Ale w tej łatwości właśnie kryje się niebezpieczeństwo. Ze zmagania się, z trudu powstaje dzieło. I trud, którego jest owocem, czyni je żywem i ludzkiem. To, co zostało zdobyte zbyt łatwo, nie nosi śladu głębszych przeżyć i jako takie nie może wywołać ich w odbiorcy—widzu. Z przyjemnością stwierdzam, iż w poważniejszych dziełach Bylina zdołał się wyzwolić z tej, zbyt kokietującej, beztroskiej techniki.

U Aleksandra Raka najbardziej nas ujmuje jego poważny i czujny stosunek do sztuki. W gorliwości swej, aby malować najlepiej, malarz zwrócił się do epok znanych z solidności rzemiosła. Można podpatrywać cudze środki i sposoby, zwłaszcza jeśli są dobre, należy się jednak niemi posługiwać według swoich, a nie cudzych upodobań. Mam tu na myśli pewne „patynowanie“ obrazu. Artysta, dla stonowania barw, do każdej z nich dodał czarnej, czasem aż nazbyt dużo. Prace Raka mają pozatem charakter kameralny; nieduże tam wszystkiego, ale wszystko zostało przemyślane i podane z wyszukaną i pieczołowitą starannością. Jeden z obrazów ma lepiej namalowaną głowę, drugi szczęśliwszy jest w kompozycji.

*

Kolekcja prac p. Emilji Wysockiej składa się z krajobrazów, kwiatów i kompozycyj. Studja kwiatów, obrazki najmniejsze rozmiarami, największe są przez swą wartość artystyczną. Niema tu jakiejś filozofji barw, specjalnego wyrafinowania — artystka, szczery i tęgi talent, nieomylną dłonią kładzie kolor, podpatrzony w naturze. Dzięki tej nieomylności, plamy kwiatów — chociaż oprowadzone nieraz mocnym i ciemnym konturem i na wyraźnie odcinającem się tle — mają w sobie żywość, miękkość i prawdę. Powierzchnia ich lśni jak drogocenna emalja i efekt ten wzmaga się jeszcze przez powerniksowanie płótna. Pejzaże artystki, przy dużych zaletach, nie mają już jednak takiej bezpośredniości. Z ich szerokiego malowania przegląda miejscami recepta, w najlepszym gatunku coprawda, ale już recepta. Kompozycje są ciekawemi próbami borykania się rasowego temperamentu malarki ze zgóry s bic narzuconemi założeniami dekoracyjnemi.

*

Polski Klub Artystyczny rozpoczął sezon wystawą obrazów Wł. Zycha. Zych jest absolwentem Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Dziedzina, w której się obraca malarz, to malarstwo bezprzedmiotowe, abstrakcyjne. Sztuka tego rodzaju wymaga klucza, nietylko dla zwykłych laików, ale i dla osób względnie z malarstwem pokumanych. Na marginesie można stwierdzić, iż Zych ma poczucie koloru.

W. P.

---

*) I odwrotnie: w jednym ze swych artykułów p. Lech Niemojewski stwierdza zbytnią malarskość projektów młodej architektury.

OFENSYWA

MORGA

TU I OWDZIE całe szpalciska o tym kryzysie teatralnym. Że niby i gdzieindziej także. I zaraz przykłady za włosy ciągnione i stufuntowe przesady, żeby niby u nas nie wyglądało to wszystko tak potwornie. Owszem, braciszki, jest trochę tego kryzysu i gdzieindziej, ale nigdzie, nawet w najdalszem przybliżeniu, tak jak u nas, gdzie już nie żaden kryzys i krach, a poprostu zdechanie całej kultury, nie już tylko teatralnej a widowiskowej, gdzie zupełny bezrząd, nierząd i anarchja, bezradność, psychoza, obłęd, histerja, stadowe, samobójcze harakiri. Mocarstwo mocarstw, pięć stolic, dzielnicowych metropolij, polski Manchester i ani jednej opery na rok 1930 — 31. Jak już zamykać, to odrazu wszystkie cztery, na złość, na przekór. Ale dlaczego nie oblewać naftą, podłożyć ekrazyt, palić i wysadzać w powietrze. O, to by było dopiero widowisko godne bogów i prawdziwa teatralizacja życia! Zamknięto i w Katowicach, gdzie Niemcy, i we Lwowie, gdzie Rusini chodzili. Bo i poco? Niech się nie polszczą. Niech nie chodzą. Mają kina z angielskiem dźwiękowaniem. Ciekawe czy „straszne dzieci" z Zaspy (jest Ospa jest i Zaspa) dostały przynajmniej choćby pół miljona od kiniarzy za tę wspaniałą propagandę niszczycielską, tyle złociszów kinopanom napychającą..

A w Kownie opera jest i w Rydze i w Tallinie; w Czechosłowacji sześć oper, w Jugosławji dwie, w Norwegji (2 milj. mieszk.) jedna, w Kopenhadze jedna. Litwinów stać. Nas nie stać. Mocarstwo! Czy nie słusznie pisać: moczarstwo! Złota era Sanacji. Złoty wiek Pierwszej Brygady!..

A z teatrami dramatycznemi? Wszędzie lekki kryzys. Gdzie barbarzyńcy, tam większy. W Los Angeles (2 miljony mieszk.) 2000 kin, cztery teatry. Ale to barbarja, bogate, wyzłocone, ordynarne, było chamstwo, jest chamstwo, będzie. A gdzieindziej? Czemu to kłamać w gazetach, niby żeby siebie samych pocieszyć. Co to tam za pociecha! Nawet żadna „*Schadenfreude*". W Berlinie na 36 teatrów zamknęli trzy (3), z trzech oper pozostały dwie, zamknięto starego Krolla. W Londynie były 52 teatry, jest teraz 50, ale zawsze trzydzieści. W Paryżu zamienili, przekształcili na kina: *des Ambassadeurs, Eduard VII, Marigny, Ambigu, Scala,* zostało 26 scen dla dramatu i komedji. W Brukseli żadnego kryzysu. W Czechosłowacji ani jednego teatru nie zamknięto, frekwencja normalna, na ten sezon zapowiedzi repertuarowe świetne. W faszystowskich Włoszech daleko sięgające reformy i reorganizacje (mimo kryzysu gospodarczego). Zmontowali: *Corporazione di spettacolo* z Silvio d'Amico na czele; będą mieli Instytut Narodowy Teatru Dramatycznego z dwoma reprezentacyjnemi zespołami. Wprowadzili system oszczędnościowy z sześciomiesięcznem *staggione* dramatycznym; we wszystkich teatrach kasują loże jako zbytek; utworzyli stypendja dla dramatystów, twórczość dramatyczna, przez dalekowidzący rząd protegowana, nie tylko nie osłabła, ale rozkwitła. W teatrach berlińskich zapowiedziano w programie repertuarowym 14 utworów nowych. W Paryżu również cały szereg nowości sezonowych, między nimi Giraudoux, Sarment, Romains, Lenormand, Pagnol. Wszędzie obniżają oczywiście rozdęte gaże rozbuchanych gwiazdorów i gwiazdnic.

W Sowietach, w Moskwie, na ten sezon zapowiedziane trzy premiery operowe rodzime: Saporina — „Dekabryści" (libretto Tołstoja), Wasilewskiego — „Zdobycie Buchary", Dawydenki — „Rok 1905" (u Stanisławskiego); w teatrach dramatycznych zapowiedziano premjer literackich szesnaście, między nimi Sajfuliny, Narokowa, Romanowa, Skwarkina, Tretiakowa... Tu atoli równomiernie z rozwojem twórczości dramatycznej idzie wcale imponujący rozkwit twórczości X tej Muzy, zresztą podobnie jak i w Czechosłowacji. Tam w tym małym kraju w r. 1930 — 31 nakręcono 21 filmów, z czego siedm dźwiękowców kosztem przeciętnie 800 tysięcy koron; wszystkie przeszły na Europę i do Ameryki i cieszą się wprost kolosalnym sukcesem, już nawet zestawiane z amerykańskiemi i rosyjskiemi. W Sowietach kino znajduje się pod patronatem rządowym (Sowkino i Meszalpon). Teatrów kinonowych jest 8.700, po wsiach 3.000 i wędrujących, przewożonych ze wsi do wsi i do miasteczek 14 000. Wedle programu dwa wielkie przedsiębiorstwa kinowe mają obowiązek nakręcić rocznie 160 dramatów i komedyj, 50 dźwiękowców, 350 naukowych; w osnowach zakazane są motywy erotyczne i seksualne; z importu zakazany jest „Pat i Patachon" jako ogłupiające. Między Ameryką a Sowietami nastąpiła w tej dziedzinie wymiana wielkich reżyserów: Pudowkin i Eisenstein pracują w Hollywood, podczas gdy sześciu amerykańskich reżyserów „nakręca" reprezentacyjny film sowiecki p. t.: „Odpowiedź Rosji".

Jak więc widzimy z tego, na szerokim świecie i w tych dziedzinach, i Melpomeny i X-tej Muzy nie jest znowu tak fatalnie. W faszystowskiej Italji, w burżuazyjnej Czechosłowacji, w proletarjackiej Rosji można mówić nawet o rozkwicie i dużej ekspansji.

W sanacyjnej Polsce ostateczny marazm, uwiąd i agonja na całej linji i na wszystkich odcinkach. Poprostu: Morgue, trupiarnie; jak po dżumie, jak w czasach epidemji, gorzej, stokroć gorzej, niż *tempore belli*. Nie załgiwajmy się tedy, że wszędzie jest kryzys, że wszędzie jest także źle, że wszędzie upada sztuka, zanika twórczość, zamiera całe życie kulturalne, głodują artyści i twórcy. Tak źle na globie nie jest. Źle jest i najpotworniej tylko w Polsce Sanacyjnej, Polsce Brygadowej. Lepiej jest w tej dziedzinie nawet... na Litwie.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Na marginesie karty dziejów polskich, noszącej tytuł „Pięciolecie rządów majowych", poseł ruski Baran w dniu 2 października na posiedzeniu Sejmu zanotował uwagę (według stenogramu urzędowego):

„Nie jest to rzeczą nieznaną, kto zna stosunki wewnętrzne Polski, że jak raz Anglja sprawą tą więcej się zainteresowała, to samo państwo, za którego cichą aprobatą zrobiono tutaj przewrót majowy. Bo nie jest to tajemnicą światową, że przewrót majowy stał się za zgodą, pod protekcją Rządu Wielkobrytyjskiego".

Jest to odsyłacz do gęsto wspominanych na początku tego okresu „agentur obcych". Dotąd nikt nie sprostował tego twierdzenia p. Barana. P. Minister Zaleski, oswojony z Anglją z czasów wojny, jest zaziębiony.

„Gazeta Polska", organ urzędowy systemu majowego, nazwała powiedzenie p. Barana: „niedyskrecją". I tyle.

*

— Pan August Zaleski zabrał nareszcie głos i wypowiedział się w sprawach, tak bardzo niepokojących społeczeństwo polskie.

— Cóż powiedział?

— Iż bardzo się dziwi, że społeczeństwo się niepokoi. On przecież staje *bec-à-bec* wobec każdego zagadnienia i niczego się nie boi.

— Tak, ale p. Zaleski i p. Beck dziwią się społeczeństwu już od r. 1914, więc tembardziej jest ono niespokojne, że im się nie dziwi.

— Jednem słowem, można się dziwić — bez wzajemności...

*

„I przyszedł urodzaj siedmiu lat, a zboże w snopy powiązane zwieziono do gumien. Wszystek też nadmiar zbóż zsypywano po wszystkich miestach... Gdy tedy minęło siedm lat żyzności, zaczęło przychodzić siedm lat niedostatku, jakie był przewidział Józef; na całym też świecie głód dawał się we znaki, ale w ziemi, gdzie rządził Józef, było co jeść i nie było nędzy..."

Taką to „politykę oszczędnościową" prowadzono za rządów mądrego dyktatora Józefa... pięć tysięcy lat temu w Egipcie...

*

Modne są teraz „poprawki historji"... Prawda, że o wiele bardziej przydałaby się Polsce „poprawa teraźniejszości", ale dobre i to, że ktoś czasem sięgnie i do historji, żeby się stamtąd czegoś nauczyć. Otóż warto przypomnieć historję niezbyt dawną, gdy ktoś wobec parlamentu zapewniał, iż rząd obecny zastał Polskę zniszczoną, a zostawi ją murowaną, bodaj że i betonową. Zaiste trzeba mieć bujną fantazję, by w barakach dla bezdomnych, jakie buduje się na peryferjach stolicy, dopatrzeć się cegły i betonu... Frazes literacki p. ministra chybił celu. Bo też Długosz wyrażenie o Polsce murowanej odnosił do Kazimierza Wielkiego, my zaś żyjemy jeszcze w epoce — Łokietka. Ale nie tego, który zwyciężył pod Płowcami. Dzisiejszy Łokietek poprzestaje na skromniejszem stanowisku — przywódcy bojówki sanacyjnej"...

*

Ludzie, lubiący nieustanne wakacje, wypoczynek, podróże zagraniczne, zapytują się wzajemnie, co właściwie przyjemniejsze i wygodniejsze na starsze lata: emerytura czy dyktatura?

TREŚĆ:

Defensywa gospodarcza *Z. Raczkowskiego.* — O suwerennej grupie rządzącej *Z. Stahla.* — Misterja napoleońskie *Wł. Jabłonowskiego.* — Rycerz nowoczesności *St. Pieńkowskiego* — Na widowni *J. Rembielińskiego.* — Nauka i literatura („Rosja pod władzą żydów" *H Rolickiego* i t. d.). — Teatr *Z. W.* — Ze świata sztuki *W. P.* — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.